Nr. 5. Warszawa, dnia 31 (19) Stycznia 1891 r. **Rok XI.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

WĄTPLIWA PRÓBA.

Najbujniejsza wyobraźnia nie zdołałaby prawdopodobnie wyobrazić sobie tak zręcznego, czy genialnego męża stanu, któryby umiał trwale, bez zboczeń i niebezpieczeństwa rozbicia się o skały, kierować nawą państwową Austryi. Jest to bowiem zadanie tak trudne, a raczej niemożliwe, jak ułożenie i utrzymanie w równowadze wysokiej piramidy z brył niewspółmiernych, niemających ani jednej ściany, którąby do siebie przystawać mogły. Jako państwo konstytucyjne wymaga ona rządu, opartego na większości przedstawicielstwa narodu; tymczasem nie posiada narodu, lecz zlepek najrozmaitszych ludów, dążących w kierunkach rozbieżnych, a następnie nie posiada przedstawicielstwa, mogącego przez połączenie pierwiastków pokrewnych wytworzyć jakąkolwiek stałą większość. Gdzieindziej żywioły parlamentarne układają się według zasad polityczno-społecznych; w Austryi zaś — według polityczno-społeczno-etnologicznych. Każdy poseł do sejmu lub Rady państwa ma co najmniej dwie twarze, pozostające z sobą w niezgodzie: filozoficzną i patryotyczną. Ustawicznie musi on na jedną lub drugą kłaść maskę, gdyż inaczej byłby istotą rozdartą i niezdolną do żadnego czynu. Dla przykładu przedstawmy sobie członka Koła polskiego w Wiedniu — liberała i demokratę. Jako człowiek wolnomyślny powinienby popierać dążenia lewicy, ale ponieważ ona jest naprzód niemiecką, a następnie przeciwną samorządowi krajów korony, czemu znowu sprzyja prawica, więc biedny galicyanin musi utrzymywać przymierze z tą ostatnią i pomagać jej w urzeczywistnianiu rozmaitych projektów wstecznych. Jako słowianin chciałby podać rękę pobratymcom, czechom lub kroatom, ale częstokroć warunki sojuszu z niemcami nie pozwalają mu na to. Kręci się więc w błędnem kole bez wyjścia, wiąże się z tymi, których nienawidzi, a walczy z tymi, którym dobrze życzy, zadając gwałt swoim zasadom, przekonaniom i uczuciom, a dzięki temu wszystkiemu staje się istotą bez charakteru, bez nazwy, bez ściśle określonej natury politycznej. W podobnem zaś położeniu znajduje się każdy osobnik parlamentu austryackiego.

Tę zmąconą najrozmaitszemi sprzecznościami mieszaninę można utrzymywać we względnym spokoju dopóty, dopóki jej nie przeniknie jakiś silny prąd elektryczny: wtedy zaczyna się ona rozkładać i burzyć. Takim prądem była walka stronnictw w Czechach, która niespodziewanie i nagle dała przewagę „młodym,“ oraz ich zajadły bój z niemcami. Wrzenie to wywołał zbyt zaufany w swą władzę i sztukę rządzenia sam hr. Taaffe za pomocą ugody czesko-niemieckiej, która nietylko rozdarła Czechy, ale wbiła głęboko klin w popękany pień państwa. Wszystkie starania o zażegnanie tej burzy zawiodły: staroczesi, służący za podporę gabinetowi obecnemu, zaczęli kruszyć się i upadać, a starcie z niemcami przybierało coraz ostrzejszy przebieg. W maju kończyło się sześciolecie parlamentu austryackiego, który przy odpowiednich zabiegach rządowych mógł wyjść z urn w składzie przez hr. Taaffego pożądanym; ale niebezpieczeństwo rozstroju wewnętrznego tak napierało, że nie przeczekał on nawet paru miesięcy i rozwiązał Radę państwa.

Uznano ten środek za mądry i pomysłowy. Nam on się takim nie wydaje. O wzmocnieniu przez nowe wybory prawicy, która służyła obecnemu rządowi, nikt chyba trzeźwo na rzeczy patrzący nie myśli. Natomiast wielce prawdopodobnem jest zwycięztwo młodoczechów i liberałów niemieckich — głównych przeciwników obecnego systemu. Co wtedy zrobi dzisiejszy gabinet? Ustąpi lub przekształci swój skład częściowo w duchu nowych stosunków? Cokolwiek nastąpi u góry nic — naszem zdaniem — nie zmieni się u dołu. Może miejsce hr. Taaffego zająć kto inny, mogą wszystkie teki przejść w inne ręce, mogą dokonać się nowe ugrupowania stronnictw i ich stosunki, ale ten proces rozkładowy, który powoduje wstrząśnienia, dalej rozwijać się będzie i nie da się opanować najsilniejszej władzy i najmądrzejszej sztuce rządu. Dopóki odrębności i dążenia narodowe w Austryi były słabe i nieuświadomione, tłumienie ich i panowanie nad niemi było trudne, ale możliwe. Dziś zgodne współżycie w warunkach znacznej nierówności: niemców, węgrów, polaków, czechów, słowieńców, kroatów, słowaków itd. jest niepodobieństwem, gdyż każdy z tych żywiołów domaga się niezależności, a w środkach ustroju państwowego znajduje dość broni do walczenia o nią. Wewnętrzny rozkład Austryi nie da się powstrzymać zapomocą jakiegoś ministra lub gabinetu, ale tylko zapomocą gruntownej zmiany stosunków między jej narodami w duchu większego równouprawnienia. Monarchia Habsburgów musi w swym ustroju zbliżyć się do typu amerykańskiego, w przeciwnym razie czeka ją szereg ciągłych wstrząśnień, a prędzej czy później zupełne rozdarcie. Jeżeli przeto politycy czynni i dziennikarscy spodziewają się po nowych wyborach „wyjaśnienia sytuacyi,“ to nie zawiodą się o tyle, że owa sytuacya wyjaśni im niemożliwość dalszej łataniny i konieczność przebudowy państwa. Nic pomogą żadne zaklęcia, żadne piorunochrony z popularnych osób, bo gmach wymaga nowych podwalin. Minął już czas, kiedy można było zmusić słowaków, ażeby służyli za artykuł żywności węgrom, czechów — ażeby oblizywali się po zjedzeniu resztek rzuconych ze stołu niemieckiego; teraz wszyscy chcą żyć i zasiąść przy wspólnym stole.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Rozwiązanie wiedeńskiej Rady państwa spadło na usta prasy europejskiej jak owa kropla dżdżu, o którą Hagar prosi Jehowy w poemacie Ujejskiego. Jest o czem pisać! A to wlokły się tygodnie za tygodniami, w których jedynego materyału politycznego dostarczały świnie, szturmujące do bram granicy austryackiej od strony Serbii lub niemieckiej od strony Królestwa polskiego. Znowu były one przedmiotem rozpraw w sejmie niemieckim, gdzie minister rzucił klątwę na amerykańskie. Rzecz dziwna, gdyby wierzyć politykom berlińskim, wszystkie świnie całego świata byłyby chore z wyjątkiem tych, które się wychowują w chlewach Germanii.

Gdy sejm załatwił się z tym kwikiem, przystąpił do sprawy obłożonych aresztem podczas walki kulturnej funduszów duchowieństwa katolickiego. Przed kilku miesiącami ultramontanie (centrum) przedstawili pretensye księży z tego tytułu — minister Gossler odpowiedział im w imieniu rządu, że o zwrocie kapitału nie może być mowy i że będą tylko wypłacane procenty. Tymczasem centrum zbliżyło się do rządu i zaofiarowało mu swoje usługi — a minister Gossler wystąpił z dowodzeniem, że trzeba zwrócić kapitały i że on pod tym względem... nie zmienił swego zdania. Zbyt głośno Izba rozśmiała się z tego wyznania, ażeby wątpił, że osiągnął efekt wysoce humorystyczny.

Nareszcie sejm pruski zajmował się emigracyą do Brazylii. Poseł Motty odczytał nawet doniesienia p. Dygasińskiego w *Kuryerze warszawskim*, z których słuchacze niewiele się dowiedzieli. Wszyscy uznali, że trzeba coś zrobić dla powstrzymania zgubnego ruchu, tylko nikt nie doradził co.

Podobną rolę widzów stojących na brzegu wezbranej rzeki i usiłujących zatamować ją pobożnemi zaklęciami odegrał wiec poznański w sprawie socyalizmu. Uchwalił bowiem, że: 1) należy go potępić, 2) tłumić zapomocą szerzenia zasad chrześciańskich, 3) zwoływać częściej takież same wiece, zakładać stowarzyszenia i bractwa przeciwdziałające zgubnemu prądowi.

Prometeusz przykuty do skały we Friedrichsruh nie za to, że bogom wykradł ogień dla ludzi, lecz ludziom dla siebie, męczennik, któremu sęp złości szarpie wątrobę — nie przestaje skarżyć się i gromić Zeusa. Wszystko w rządach monarchy gani: i traktat celny z Austryą, i tolerancyę dla obcych świń, i wypłatę funduszów kościołowi katolickiemu—co tylko nowego się zdarzy. Ale także odbiera pośrednie napomnienia, że wali głową w mur, którego nie przebije. Generał Leszczyński, domniemany szef sztabu głównego, za sympatye okazywane Bismarkowi, tak zachwiał się na stanowisku dowódcy korpusu pod objawem niełaski cesarskiej, że aż poprosił o dymisyę. Czy ci panowie mniemają, że skutkiem tych wszystkich knowań pewnego dnia naród usunie dynastyę Hohenzollernów i osadzi na tronie Bismarków? Chyba tak naiwni nie są. Więc po co „frondują“?

W braku lepszego powodu Izba francuska odbywa próby urządzenia skandalu z powodu zajść w teatrze podczas przedstawienia anti-republikańskiej sztuki Sardou *Thermidor*.

Do konsula niemieckiego, reprezentującego Rosyę w Sofii, przyłączył się austryacki w przedstawieniu rządowi bułgarskiemu konieczności usunięcia kilkunastu urzędników, podejrzanych o dążności nihilistyczne. Wskazano ich imiennie.

Nagłym i smutnym dla Belgii wypadkiem stała się śmierć jej następcy tronu, ks. Baldwina. Wypadek ten zaszedł tak szybko i niespodziewanie, że zaczęły przyczepiać się do niego legendy, zaprzeczające zapaleniu płuc i mówiące o samobójstwie z powodów miłosnych.

Rozruchy w Chili szerzą się coraz groźniej.

BADANIA NAUKOWE.

EWOLUCYA SPRAWIEDLIWOŚCI.

Nazwisko Karola Letourneau odbija się często o uszy czytelników *Prawdy*. Bo też nie upływa pół roku, aby nie ukazała się jakaś jego „Ewolucya“ w handlu księgarskim. Płodność tę można wytłomaczyć łatwo: przedstawiają one tylko rozszerzone wydania oddzielnych rozdziałów pierwszej pracy autora, mianowicie *Socyologii na podstawie etnografii*. Teraz wyszła znowu książka, rozpatrująca rozwój kategoryj prawno-kryminalnych *). Kto zna uprzednie dzieła Letourneau'a, z góry odgadnie układ świeżo wydanego. A zatem mamy biologiczny rodowód prawa i sprawiedliwość zwierzęcą, później sprawiedliwość u hord, znajdujących się w stanie bezrządu, u plemion republikańskich i monarchicznych, w małych i wielkich monarchiach barbarzyńskich. Dłużej zatrzymał się autor nad Egiptem, Chinami i cywilizacyami Ameryki przedkolumbowej. Dalej następuje rozbiór idej o przestępstwie i sprawiedliwości u ras białych: berberów, arabów, hebrajczyków, w Indyach, Persyi, Grecyi i Rzymie, u barbarzyńców aryjskich, wreszcie za czasów feodalnych. Wszędzie widzimy ogrom faktów, lecz uogólnień znajdziemy niewiele. Oddzielne tylko rozdziały, przedstawiające stan sprawiedliwości u różnych, kolejno ułożonych ludów, są zlekka zczepione z sobą pewną próbą zadziergnięcia nici rodowodowej, która wciąż rwie się i z wysiłkiem musi być nawiązywaną przez czytelnika. Stanowisko autora wyraża się najlepiej w jego własnych słowach. „Usiłowałem skreślić olbrzymi obraz ewolucyi prawnej, biorąc za pole badania cały ród ludzki i pozwalając przemawiać jedynie faktom. Dzieło moje bezwarunkowo będzie posiadało nieznaczną wartość w oczach czystej krwi prawników, zasklepionych w tej lub innej dziedzinie prawa pisanego, gdyż zupełnie zrywa ono ze stroną techniczną ich nauki i ogranicza się jedynie do zaznaczania charakterystycznych faktów, niby drogowskazów, zdradzających kierunek ewolucyi prawnej... Mógłbym powiedzieć, że badam prawo raczej ze stanowiska antropologa, aniżeli prawnika... Aby zrozumieć ostatnie przejścia cywilizacyi, należy związać je z ubiegłemi, nawet bardzo dalekiemi. Tylko za taką cenę możemy objąć umysłem całą ewolucyę ludzkości. Złote czasy historyi minęły, nowa epoka świta — epoka Socyologii.“

Naturalnie, idea prawa nie jest dla naszego socyologa jakiemś nadprzyrodzonem pojęciem metafizycznem, ale wynikiem długiego i powolnego rozwoju oraz doświadczenia. Biologiczne początki jej Letourneau postrzega w zwykłej odruchowości. Człowiek, uderzony, nieświadomie usiłuje oddać pięknem za nadobne, tj. tak samo skrzywdzić swego krzywdziciela. Czyn ten może być powstrzymany dzięki wdaniu się świadomości, lecz swoją drogą tak i nie inaczej wygląda zasadnicza dążność odruchowa, właściwa każdemu organizmowi ludzkiemu. U niektórych grup dzikich, np. u mieszkańców Ziemi Ognistej można ją badać jeszcze w całej pełni. „Są oni jako dzikie zwierzęta, nie dbają o liczbę i każda osoba napadnięta, zamiast ucieczki, probuje wam rozmiażdżyć czerep kamieniem.“ Zresztą odruchowość

*) *Evolution juridique dans les diverses races humaines.*

Pan Hilary.

— Zastąp mnie, kochany panie, jestem śmiertelnie znużony — powiedział, kładąc karty na stół i zwracając się do gospodarza, który właśnie w tej chwili pochylił się nad jego krzesłem.

— Widać, że i szczęście znużyć może — odpowiedział ten z uśmiechem. Grasz pan dziś szczególnie szczęśliwie.

— Wybaczą mi panowie — z lekkiem schyleniem głowy zwrócił się pan Hilary do swoich partnerów i nie czekając odpowiedzi, powstał, ustępując miejsca gospodarzowi. Wyprostował się całą swą wysokością, przeciągnął się zlekka i przesuwając ręką po twarzy, ukrył pod dłonią nieznaczne ziewnięcie. Potem powoli, krokiem człowieka znużonego, zbliżył się do drzwi przyległej sali, skąd od niejakiegoś czasu wpadała cała wrzawa z werwą tańczonego mazura. Potoki światła, sznury par skręcające się, rozpryskujące, przelatujące obok niego z szelestem i tupaniem, jasno ubrane kobiety jak płatki rozsypane na czarnem tle fraków — wszystko to wydało się mu, oderwanemu nagle od kilkogodzinnego skupienia myśli, jakąś fantasmagoryą, w której naraz połapać się nie mógł. Gorąco było podzwrotnikowe, ale tańczący zdawali się nie czuć tego; zarumienione twarze, rozchylone usta i oczy niezwyczajnie błyszczące świadczyły wymownie o pewnym rodzaju ekstazy mazurowej, wywołanej zarówno wspólnym ruchem, jak i podniecającem tempem ochoczej muzyki. Pan Hilary popatrzał czas jakiś, mrużąc ciężkiemi powiekami przysłonięte oczy, i ziewnąwszy parę razy, zabierał się do odejścia, gdy spostrzegł przeciskającego się pod ścianami i zdążającego ku niemu znajomego.

— Nie sądziłem, że ciebie tu spotkam — zawołał przybyły, wyciągając doń rękę, w którą pan Hilary włożył dwa palce. Gdzie byłeś, że dotąd cię nie widziałem?

— Grałem.

— W winta? A wyglądasz, jakbyś co najmniej grał całą noc na basetli; zmieniony jesteś...

— Nie lubię tych nocnych zebrań — odparł z niesmakiem. Cóż to się stało, że nie tańczysz?

Twarz przybyłego spochmurniała.

— Nie warto — odrzekł, tragicznie rzuciwszy ręką.

Pan Hilary uśmiechnął się jakoś zlekka, połową ust.

— Widocznie coś nadzwyczajnego ci się przytrafiło; albo panna Matylda, czy jak tam się wabi...

— Matylda! nie wspominaj mi o niej, to potwór nie kobieta!

— Ach, ach — uśmiechał się wciąż pan Hilary — potwór i kobieta — to za silne na ciebie. Zdradziła cię w tańcu, czy też w miłości? Pocieszę się, za chwilę sama przybiegnie do ciebie.

— Nigdy, między nami wszystko skończone. Nie pojmujesz co cierpię... co ja cierpię...

— Istotnie, trudno mi to pojąć. Jak myślisz, możebyśmy poszli do bufetu? Chętnie bym co wypił.

— O, tak! pić będę, będę — to jedno mi pozostaje.

— Oh, aż tak! I na długoż to?

— Hilary, ty mnie urągasz...

Stanął w pozie dotkniętego boleśnie nieszczęśliwego kochanka.

— Bynajmniej. Czy ci się podoba ten mazur?

— Co on mnie obchodzi!

taka, wymierzająca natychmiast odwet za doznaną krzywdę, już jest nieco osłabiona nawet u niektórych ssaków. Zamiast doraźnego ukarania, zwierzęta mszczą się niekiedy po upływie dość znacznego przeciągu czasu. Otóż odruch ludzki, dążący do oddania otrzymanego ciosu lub doznanej krzywdy dosłownie w ten sam sposób, w jaki ona została wyrządzoną, dzięki wpływowi pierwiastków powstrzymujących, zamienia się na uplanowaną zemstę, której prawomocność jest uznana i kształtowana w odpowiedniej gromadzie ludzkiej prawem zwyczajowem. Rodzi się tak zwane „prawo odwetu,“ znane pod specyalną nazwą: *jus talionis.* Kilka przykładów starczy dla uzmysłowienia, na czem ono polega. U ludów pierwotnych poszukiwanie krzywd jest najzupełniej rzeczą prywatną lub raczej rodową, zwyczaj jedynie określa, w jaki sposób wolno poszukiwać zadośćuczynienia. Zasadą tutaj jest „dusza za duszę, oko za oko, nos za nos, ząb za ząb, ucho za ucho,“ „wolny człowiek za wolnego, niewolnik za niewolnika, kobieta za kobietę.“ To znaczy, że jeśli ktoś zabił kogoś, krewniacy tego ostatniego posiadają nieograniczone prawo, a nawet obowiązek moralny odebrania krzywdzicielowi życia. U Arabów znajdujemy mnóstwo wysoce charakterystycznych zwyczajów prawa odwetowego. Rana wymaga rany, a „prawnicy,“ osądzający krzywdę, biorą pod uwagę wszelkie najdrobniejsze okoliczności: miejsce, głębokość i wielkość zranienia. Kto bliźniemu uciął rękę prawą, winien oddać prawą. Jeżeli zadana rana dopiero później spowodowała amputacyę, winowajcę naprzód się rani, a później odcina mu się odpowiednią część ciała. Jeżeli znowu cała krzywda ogranicza się na zranieniu, rana zostaje dokładnie wymierzona i winowajca otrzymuje taką samą, w tej samej okolicy ciała, przytem wielkość jej i głębokość są ściśle odtworzone. Gdyby „prawnik“ zadał ranę większą niż należało według odwetu, zbyteczny naddatek zostałby mu zwrócony — na własnem ciele. Zresztą u Arabów mamy już do czynienia z późniejszym okresem prawa odwetowego. W epoce pierwotniejszej wprost poszukiwano odwetu samowolnie, później dopiero zjawiły się urządzenia sądowe — jeśli można je tak nazwać, które regulują odwet, tj. baczą, aby nie wyszedł z granic należytych, lecz pokrzywdzonemu pozostawiają zupełną swobodę w oddawaniu krzywdy. To prawodawstwo obejmuje wszelkie możliwe przestępstwo, dokonane przez jedną osobę na drugiej, a zatem zabójstwo, zranienie, uwiedzenie, kradzież.

Tradycya odległych czasów doszła aż do naszych. „Nie rób drugiemu, co tobie nie miło,“ jest tylko innem wypowiedzeniem dawnej sprawiedliwości. W podstawie odwetu tkwi zresztą raczej idea rachuby, niż oderwanej sprawiedliwości. To też kiedy rozwój społeczny dochodzi do pewnego poziomu, mianowicie kiedy ukazuje się własność, odwet krwawy, cielesny, poczyna zwolna przybierać inną postać: wynagrodzenia pieniężnego. Każda krzywda zostaje oszacowana w dobrach materyalnych, przedewszystkiem w pieniądzach, i odpowiednia suma wypłacona pokrzywdzonemu lub jego rodowi. U plemion republikańskich sprawą tą zajmuje się rada, złożona z przedstawicieli obu stron. W monarchiach tę czynność przywłaszcza sobie zwolna władza naczelna. Dawne zwyczaje, określające już to rozmiary odwetu, to znowu grzywny pieniężnej, zostają spisane. Ukazuje się kodeks, a z nim pojęcia prawa. Prawo to stosuje monarcha. W ten sposób staje się on stróżem sprawiedliwości, wymierzającym kary za popełnioną zbrodnię. Pojęcie odwetu zaciera się, występuje metafizyczna kategorya sprawiedliwości. Dawne krzywdy czysto osobiste stają się teraz obrazą monarchy i prawa. Zemsta osobista rozpływa się w zadość czynieniu wymaganiom „słuszności,“ Zamachy na osobę przestają być prostymi krzywdami, lecz są wykroczeniem przeciwko prawu ludzkiemu i boskiemu — grzechami. Wtedy to komuś może się wydawać, że poczucie sprawiedliwości jest wrodzone naturze ludzkiej.

Lecz obok tych uczynków czysto osobistych już w najpierwotniejszych społeczeństwach odróżniono występki przeciw społeczeństwu, mianowicie zdradę swojego plemienia, czarodziejstwo uprawiane względem współplemieńców, obrazę wierzeń. Zbrodnie te są zawsze surowo karane — śmiercią. Z ukazaniem się monarchii liczba ich wzrasta. Monarcha staje się osią społeczeństwa i wszelki zły zamysł przeciwko niemu podpada pod kategoryę przestępczą.

Tak się przedstawia myśl główna rozpatrywanej książki. Pytanie, dlaczego w pewnych okresach jedne zbrodnie są więcej karane, w innych — inne, pytanie to zostało w niej niemal bez odpowiedzi. Wprawdzie autor rzucił kilka słów wyjaśniających, lecz zwykle są one oderwane od całości. Podobnie bardzo mało uwzględnił rozwój samych władz, spełniających powinność sędziego, oraz środków stosowanych do wykrycia i ujawnienia zbrodni. Dzieło więc jego traktuje rzecz dość jednostronnie. Zresztą Letourneau stawia jakość i ilość zbrodni, popełnionych w pewnem społeczeństwie, w ścisłej zależności od jego budowy. „Społeczeństwo z przerażającą prawidłowością spłaca swój roczny budżet więzieniom i szafotowi“ — powtarza on słowa Quételeta. Sądzi on, że obraz zbrodniczy świata średniowiecznego wyglądał zgoła inaczej, niż obecnie. Z tego stanowiska uważa za konieczne zastrzedz się przeciwko doktrynom antropologów - kryminalistów. Przyznaje zupełną słuszność ich ogólnemu punktowi widzenia, z którego oświetlają zbrodnię i zrywają z metafizyką karną, ale jednocześnie zaznacza, że w ich sądach co do natury zbrodniarza tkwi zbyt wiele przesady. Według Lombrosa, przestępca urodzony jest zbrodniarzem niepoprawnym, ale wówczas — według Letourneau'a — procent tego rodzaju postaci musiałby być nader niewielki. W niektórych okolicach, gdzie zastosowano postępowe i humanitarne warunki w więzieniach, recydywistów jest tylko 10% i nawet 2,68%, tymczasem gdy cyfra ta wynosi we Francyi 40% i 70% w Belgii. Dowodzi to tylko, że przestępcy urodzeni Lombrosa byliby często jedynie zbrodniarzami przypadkowymi, że dobre wychowanie, odpowiednie warunki bytu i wreszcie system karny bardziej ludzki mogą wywołać poprawę. Liczba przestępców niepoprawnych, zwykle różnego rodzaju obłąkańców, byłaby niewielką i same te postacie byłyby w prostej linii wytworem istniejących stosunków społecznych. Zamiast wymagań niekiedy okrutnych szkoły Lombrosa, socyolog francuski mniema, że głębokie reformy społeczne, usuwające wśród ludzkości powody zwyrodnienia, lepszą bez porównania okazałyby usługę.

Wreszcie zadaje on sobie pytanie co do przyszłej sprawiedliwości. Według niego obecne pokolenie powinno zerwać z rutyną odległej przeszłości, a głównie z ideą zemsty, którą oddycha całe tegoczesne ustawodawstwo. Owa zemsta to tylko oddalone, lecz w każdym razie jeszcze silne echo odwetu naszych przodków. Podobnie dziką jest idea zadawania koniecznie katuszy zbrodniarzowi — jakimkolwiek sposobem lub w jakiejbądź formie. Nemezys greków należy zupełnie wygnać z zakresu sprawiedliwości. Z drugiej strony Letourneau kreśli nam swoją utopię drobnomieszczańską, uwzorowaną na kształt federacyi szwajcarskiej. W tych przyszłych drobnych jednostkach społecznych sprawiedliwość zrzuci z siebie cały przyodziewek staroczesny i przyjmie bardziej charakter sprawy rodzinnej, wyroki nie będą wydawane odpowiednio do paragrafów jakiegoś niewzru-

---

— Spojrz jednak uważnie: jak ci się zdaje, co myślą wszyscy ci tańczący?

— Co myślą? Cóż oni mogą myśleć?

— Choć raz ci się udało; tak, co mogą myśleć ludzie bez żadnej przyczyny podskakujący do góry na dany dźwięk muzyczny, lub lecący bez pamięci i żadnej potrzeby z jednego końca sali na drugi? I to tak nieprzerwanie od paru godzin, a z małemi przerwami przez całą noc?

— No, bawią się.

— Widziałem nieraz brykające cielęta na łące; te same pobudki, ale tam było o wiele więcej szczerości w intencyach i w wykonaniu.

— Zawsze dziwacznie patrzysz na wszystko.

— Chciałbym, abyś ty kiedykolwiek spojrzał takimi oczami: możebyś zrozumiał, że od zwierząt, czy ludzi bawiących się niczego na seryo wymagać nie należy. Tak i twoja panna Emilia...

— Matylda! — jęknął nieszczęśliwy.

— Patrz, czy to nie ona tu biegnie? Wybiera tancerza, nasuńże się jej na oczy; a gdy cię wybierze, zrób minę wniebowziętego, niech się upewni, że do szczęścia człowieka wystarcza parę turów mazurowych.

Zostawiwszy kolegę jego własnemu szczęściu, zawrócił do gabinetu, gdzie grano w karty. Tu go uderzyła żywa rozmowa, przy jednym ze stolików prowadzona. Grających obstąpiła gromadka widzów, do których i on się przyłączył. Widział się tu spór, w grzecznej wprawdzie formie, niemniej ostro prowadzony. Ktoś źle zagrał, ktoś pasował nie w porę, ktoś inny jeszcze nie powinien był grać wcale. Słowem, był to jeden z tych zwykłych przy grze sporów, gdzie podbudzone instynkty napaści i samozachowania każdy szczegół podnoszą do znaczenia złej woli. Miarkowane przyzwoitością słowa nie zdołały pokryć wewnętrznego wzburzenia, zbyt jaskrawo malującego się w błyskających oczach, rozognionych policzkach lub lekkiem drżeniu palców.

Czas jakiś przysłuchiwał się pan Hilary z żywem, zdawałoby się, zainteresowaniem; gdy jednak spór coraz drażliwsze poruszał strony, grożąc przejściem w nader obraźliwe wynurzenia — odszedł prędko z tak widocznym na twarzy niesmakiem, jakby cała ta sprawa jego samego dotykała w najprzykrzejszy sposób. Przeszedłszy parę pokojów, znalazł się w jadalni, gdzie mężczyźni przy stolikach gawędzili, popijali, śmieli się lub dyskutowali. Spostrzegłszy go, niektórzy powstali, aby go powitać, inni zapraszali do siebie, zaczepiali pytaniami, albo udzielali w locie pochwycone najświeższe nowiny dnia. Przechodząc od grupy do grupy, zatrzymywał się chwil kilka, aby posłuchać rozmowy, rzadko mieszając się do niej, i odchodził nagle, jakby mu nader śpiesznie było pójść dalej. Tak błądząc, stanął we drzwiach pustego, jak mu się zrazu wydało, gabinetu; po chwili jednak usłyszał szelest i spostrzegł jak z głębi podniosła się i zbliżać ku niemu zaczęła wdzięczna postać balowo ubranej kobiety.

— Więc pan już nie gra i nie tańczy? Szuka pan czego, czy kogo? — zarzuciła go niespokojnemi pytaniami.

— Radbym wypić kieliszek jakiegobądź wina.

— Jak to dobrze, mam również pragnienie, wypijemy razem — zawołała z zaiskrzonemi oczami.

Po chwili siedzieli już oboje przy małym nawpół skrytym za oleandrami stoliku; ona przechylona na ręku, z rozmarzonemi oczami, raz poraz dotykała ustami kieliszka; on odchylony na poręcz krzesła patrzył uparcie w okno, skąd przez zapuszczoną firankę przenizywały się pierwsze smugi szarawego brzasku.

— Tak, znam trochę pana — mówiła kobieta cicho i tak powoli, jakby między

szonego kodeksu, lecz wezmą pod uwagę wszelkie drobne okoliczności. Każdy wypadek będzie rozpatrywany niezależnie i zostanie oceniony odpowiednio do swoich warunków. Sprawiedliwość będzie bezpłatną i prostą, a sędziowie przysięgli będą rozstrzygali sprawy. Zresztą znawcom, wybieranym z odpowiednich stanowisk, przypadnie główna rola.

Naturalnie, streszczamy jedynie książkę, bynajmniej nie zapuszczając się w krytykę ani poglądów autora na przyszłość, ani też wyjaśnień przeszłości. Zauważymy tylko jedno. Socyolog francuski w pracach swoich więcej zwraca uwagi na nagromadzenie bardzo wielu faktów, niż na krytyczne ocenienie ich oraz oparcie się na niewielu, lecz za to drobiazgowo i sumiennie zbadanych. Ilość panuje nad jakością. Zresztą obecna książka, jak i poprzednia, może służyć i za przewyborne źródło surowego materyału, a raczej mogłaby, gdyby nie to, że same fakty nie zawsze są podawane w całej swojej rozciągłości.

Lud. Krz.

ZATARGI KIERUNKÓW SKRAJNYCH

w publicystyce polskiej ostatniej ćwierci w. XVIII.

V.

Po wierszowanym puścił Łuskina dodatek półarkuszowy prozą p. t. *Do redaktora staropolskiej gazety*, specyalnie znowu dotyczący *Gazety narodowej i obcej* z okazyi sprawozdań jej o rewolucyi francuskiej. Budząc wstręt do przewrotu, jaki dokonany został we Francyi, nawołuje broszura narodu polski do pielęgnowania wiary ojców, odtrącania pism bezbożnych i słuchania księży, którzy, jako wsparci mocą ducha św., są mądrzy. Drażniony z drugiej strony sarkazmami *Gazety narodowej i obcej*, Łuskina i w tekście pisma drukował różne uszczypliwości, najczęściej na temat bezbożności młodych redaktorów. „Dawniej niecо — pisał — upatrzyli niektórzy jakąś truciznę czyli jad w gazecie naszej; aleśmy bojaźń ich uspokoili, że ta trucizna w niej była, jaka jest w róży, lecz nie dla ludzi, tylko dla chrząszczów... I tak przecie tym bukietem różowym uspokoiliśmy zacne grono uczonej młodzieży naszej, w samym pięknym kwiecie młodości zostającej. Teraz ciż sami znowu upatrują w naszej gazecie jakąś „podłą żółć.“ Prawda, że jest w naszej gazecie i żółć, ale ta nie jest podła, lecz dla nich samych (byleby chcieli jej, jak należy, użyć) bardzo pożyteczna. Jest to albowiem żółć, jak owa z sławnej w starozakonnem piśmie ryby Tobiaszowej, nader skuteczna na ślepotę tych ludzi, którym dzisiejsza świegotliwa pseudo-filozofia (jak niegdy Tobiaszowi jaskółka) oczy jadem szkodliwie zapluszczyła i całe oślepiła“ [1])... Że posiadał przywilej na wyłączne wydawanie gazety w języku polskim, — przeciwniczkę swoją, jako publikacyę nieprawną, nazywał Łuskina „kontrabandową,“ który epitet przypominał jej ciągle. Stanowisko, jakie Łuskina zajął wobec prądów postępowych, przyjaciele jego scharakteryzowali w dwuwierszu nekrologowym:

„Gdy nad twym religia zgonem rzewnie płacze,
Chwały stąd ci przybywa, że libertyn skacze“ [2]).

Wielkiego kalibru działa zataczał przeciwko ruchowi wolnomyślnemu Karol Surowiecki (1754+1824), uderzający weń ładunkiem wydawnictw książkowych. Oprócz tłómaczeń z francuskiego: *Wolter między nieboszczykami* (1781, 1784), *Amerykanki albo dowód religii chrześciańskiej* (1784—86), *Podróż Józefa II do piekła* (1790), niemało ogłosił pism polemicznych oryginalnych z okazyi głosów radykalnych, coraz śmielej rozbrzmiewających podczas sejmu wielkiego. Broszury Surowieckiego przypadają na rok 1792: *Xiądz z kropidłem na cygana z gandzarą* — w obronie duchowieństwa, inne przeciwko tak jaskrawym objawom wolnomyślności, jak tragedya *Saul*, przekłady z Rabaut'a i itp.

Saul nie ma zaufania do proroka Samuela, który go jedynie pod presyą szemrań ludu namaścił na króla. „On — tłómaczył Saulowi poufały jego, Baza, — jest kapłanem, ty zaś człowiekiem wojennym; on rządził ludem, nimeś ty królem został; a tak on zawsze będzie nienawidział swojego następcę.“ Samuel nie może zapomnieć Saulowi, że wziętemu do niewoli królowi Amalecytów, Agagowi, darował życie. „Saulu! nie słyszałeś, jak ci Bóg rozkazywał przez moje usta, ażebyś pozabijał wszystkich Amalecytów, nie przepuszczając ani kobietom, ani dzieciom, nawet przy piersiach będącym.“ Żąda, żeby, dla okazania posłuszeństwa Bogu, pozwolił na obrzezanie i umęczenie Agaga. „Podajcie mi — woła do kapłanów — toporek i gdy ja mu utnę łopatkę, wy mu ucinajcie nogi, a potem porządkiem płatajcie w sztuki.“ Po umęczeniu Agaga wieść nadchodzi o zbliżaniu się zbrojnem Dawida, który wszczął rokosz przeciwko ojcu i niebawem zasiadł na tronie. Dawid jest dzikim okrutnikiem, łupieżcą i lubieżnym cynikiem. „Przyrzekłem — mówił — przyjaźń Akisowi, królowi Getów... Akis przyjął mnie w swoim kraju z ludzkością, świadczy mi wiele, kocha jak syna i na mnie cały polega; lecz ja nigdy nie zapominam, że jestem żydem... W krajach jego pogranicznych i od stolicy odległych zabijałem wszystkich bez miłosierdzia, nie przepuszczając ani płci, ani wiekowi, a to dlatego, żebym się okazał być czystym przed Bogiem i żeby się nie został z tych żaden, któryby mnie mógł wydać przed królem Akisem. Naprowadziwszy mu dosyć bydła różnego gatunku, zabranego od niewinnych rolników, których pozabijałem, umiałem udać przez obłudne kłamstwo, iż ta wszystka zdobycz była zabrana od żydów; a jeśli mnie kto śmiał fałsz zadawać, natychmiast kazałem go zabić, albo też ukrytym jakim sposobem zgubić.“ Z rabunku żywi żony, których ma ośmnaście, a traktuje je jak samice. „Ja chcę — prawił do Betsabei, której męża kazał zamordować,— żeby żony moje w łóżku tylko były paniami serca mego.“ O rozpacz go przyprawia niemoc starości. „Ciało moje, mówi do Betsabei, ziębnieje, ty zaś nie jesteś już tak piękna, ażebyś mnie mogła ogrzać; potrzebuję koniecznie dziewczyny w leciech piętnastu, żeby mnie ogrzewała.“ Gdy pomimo ogrzewań Abiragii, ogarnęły go dreszcze śmierci, taki w ostatniej chwili robi testament: „Salomonie! ty osiągniesz po mnie tron żydowski: pamiętajże, żebyś był łaskawym i kochanym od ludu. Skoro tylko zamknę oczy moje, natychmiast każ zabić Adoniasa, syna mego... Widzisz tego Joaba, który mi wiernie służył podczas wojny i któremu winien jestem koronę: proszę cię, na imię Boga, ażebyś go kazał zabić, albowiem on wraz ze mną krew przelewał... Jest pewny Semej, który był tajnym moim konsyliarzem; chociaż mu przyrzekłem przez imię Boga, że go daruję życiem, lecz ty możesz go, jak zdrajcę, stracić.“ “Ach! gdzież się ja obrócę — zawodziła po śmierci Dawida Abirag; kogóż będę ogrzewać teraz!“ „Pójdź — uspakaja ją Salomon — do mego seraju; ze mną więcej użyjesz rozkoszy, jak z moim dobrym ojcem.“ Mężobójstwo i kazirodztwo stanowi treść życia pomazańców boskich. Dawid morduje braci, syn jego Ammon gwałci siostrę Thamar, Absalon wypędza z Jerozolimy ojca, śpi z jego nałożnicami [1]).

---

[1]) Gazeta warszawska z 17 sierpnia r. 1791.

[2]) Gazeta warszawska z 24 sierpnia r. 1793.

[1]) Saul, tragedya wyjęta z pisma świętego. W Lipsku, 1789, 8 o, stron 82. Oryginał angielski wyszedł z pod pióra członka parlamentu Huet'a, na język fran

---

słowami stawiła myślniki — myśl w panu zabiła serce... Nie zdolnyś już kochać nic i nikogo...

— Sądzę, że świat chyba nie wiele na tem traci — odparł niedbale.

— Traci jedno serce, które będąc ciepłem, rozsiewałoby ciepło, i będąc szczęśliwem uszczęśliwiłoby może... i kogoś jeszcze.

Pan Hilary lekko wzruszył ramionami.

— Gdyby tak łatwo rodziły się te ciepłe i czułe serca, byłoby już dość gorąco na naszej planecie.

— Wiem, że świat jest zimny; tem smutniej, gdy się napotka kogoś, kto mógłby odczuć, zrozumieć... a nie chce, czy też, udaje, że nie umie...

Ostatnie słowa rozpłynęły się w westchnieniu; podniosła do ust kieliszek, jakby zapić chciała duszące ją łzy.

On wpatrzył się w nią z wielką uwagą.

— Prześlicznie jest pani z tym kieliszkiem przy ustach — rzekł po chwili. — Masz pani prawdziwie antyczną głowę; zdaje mi się, że gdzieś widziałem taką rzeźbę rozmarzonej bachantki!

— Panie! — zawołała kobieta z oburzeniem, podczas gdy oczy zabłysły uśmiechem.

— Czy panią to gniewa? Jesteś pani tak piękną, że trudno cię nie podziwiać!

— Podziwiać! — szepnęła z westchnieniem.

— Czy to mało? Piękno ma wpływ ogromny na ludzką naturę.“ Jestem pewny, że ten młody człowiek myśli to samo — dodał nagle, wskazując oczami na stojącego we drzwiach i wpatrzonego w nią młodzieńca. Ona zwróciła niby zdziwione ku tamtemu wejrzenie, ale tak wyraziste, że jak magnesem przyciągnięty znalazł się w jednej chwili przy jej krześle. Pan Hilary skorzystał z pierwszych słów między nimi zamienionych, aby usunąć się dyskretnie. Czy widział, jak oczy pięknej pani pobiegły za nim ognistem spojrzeniem, w którem gniew, łzy i obraza zabłysły naraz? Gdyby nawet spostrzegł, nie powstrzymałoby go to w mocnem postanowieniu opuszczenia zabawy. Czuł się ogromnie znużonym, nie tyle znużonym, ile zmiętym, przytłoczonym moralnie. Mówił sobie, że jest mu tak, jakby po jego duszy przesunął się ciężki wóz pełen ulicznego błota, obrzucił go tem błotem i ogłuszył hałasem źle przypasowanych, dygoczących, brzęczących desek i żelaztw. Wśród tych oświeconych salonów i gwaru wesołych ludzi doznawał jedynego pragnienia: znaleźć się stąd jak najdalej.

Nie żegnając nikogo, wysunął się do przedpokoju i narzuciwszy płaszcz na ramiona, nacisnął kapelusz na oczy i wyszedł tak prędko, jakby się lękał, aby cała ta świetność, którą zostawiał za sobą, nie rzuciła się za nim w pogoń. Gdy przecisnął się przez szereg powozów i dorożek, oczekujących na gości przed domem, i znalazł się na pustej i uśpionej ulicy — zatrzymał się, odkrył głowę i przesuwając palcami po długich włosach, podniósł oczy do góry. Czysto było i spokojnie w nieskończonych obszarach blado-seledynowego nieba. Zaledwie u szczytu parę gwiazd zbladłych gasło, a zresztą przestrzeń cała wypełniona była niezmąconym oceanem budzącej się jasności świtania. Ten spokój, ta jasność blada i orzeźwiający chłód poranku miłe wywarły na nim wrażenie; było to niby jakieś przebudzenie z dusznego snu gorączkowego do cichej i trzeźwej rzeczywistości.

— Niestworzony jestem dla nich, stanowczo nie — powiedział do siebie i po chwili dodał — ani oni dla mnie...

(D. c. n.).

W. Dal.

Takie sprofanowanie biblii rozniecilo w Surowieckim gniew wielki. Po upływie lat trzech wyszedł z pod pióra jego *Python, lipsko-warszawski djabeł, kontrtragedya na tragedyę Saul, wyjętą z pisma św., grana przez aktorów tamtego świata w r. 1789, a w r. 1792 światu ziemskiemu objawiona* [1]), utwór pod względem treści i formy sromotny. Wyprowadziwszy na scenę Boga, aniołów, proroków, apostołów i szatanów, pociąga autora tragedyi, którego nazwał djabłem Pythonem, do odpowiedzialności sądowej i następującą wymierza nań karę: „skoro cię djabli jak swego porwą w czasie do piekła, pójdziesz prosto pod ogon Lucyperowego wierzchowca i tam twoja wieczysta konsystencya.“ „Wierzchowiec Lucypera — tłómaczy Pythonowi św. Paweł, — jest to p. Wolter, wielki patryarcha noworodnych filozofów i mistrz naczelny dzisiejszej liberalnej oświaty. Podobno nie wiesz o tem, że jego bydlęca dusza w szkapią figurę przestrojona po śmierci. W całym swoim piekielnym stadzie nie znalazł książę Lucyper tak żwawej, składnej, szykownej i udatnej bestyi; przeto poświęcił ją do parady i w dnie najuroczystszych festynów prezentuje się na niej. Maść tego wierzchowca czarna, cały gdyby djabeł wygląda; sam tylko ogon szpakowaty, czyli pudrowany gnidami. Ale masz wiedzieć, że te gnidy znaczą twoich braci kolegów filozofów infimistów Fernejskiej akademii, u których chociaż wierutne pustki w głowie, lecz za to pełna gęba rozumu. Ci to ichmościowie w figurze gnid obsiedli ogon patryarchy. Otóż tobie, jako gadatliwszemu nad inszych ewangieliście i propagandziście bezbożniczej tegoż patryarchy dogmatyki, już nie na ogonie, lecz wprost pod jego ogonem, dla dystynkcyi, dekretem sądu naszego wieczyste przeznaczamy siedlisko.“ Na pożegnanie kazał trybunał wyliczyć Pythonowi tysiąc batogów.

Że Surowiecki, nie ograniczając się na obronie biblii, spotwarzył w swej pracy działalność sejmu wielkiego i cały kierunek umysłowy współczesny, — ściągnął na się chłostę z ręki Stanisława Potockiego w książce: *Scena ostatnia Pythona czyli odpowiednie pismo na dzieło p. t. Python lipsko-warszawski djabeł* (1792). Potocki szyderstw tragedyi *Saul* nie pochwala, uważa je owszem za postępek naganny; z drugiej przecież strony kontrtragedyę Surowieckiego poczytuje za sprośną i głupią. Porównywając winę autora *Saula* z czynem Surowieckiego, pierwszą usprawiedliwia, drugą potępia. W *Saulu* znajduje „wyśmianie nie samych ludzi świętych, jako świętych, ale tylko ich zdrożności i to wyśmianie nie ze złości serca, lecz gadatliwości i wesołości.“ Surowieckiego potępia ziejąca z książki jego nienawiść, grubiaństwo i potwarz. Sam Pan Bóg wydaje wyrok: „Pythona i obłąkanych swywolników pokrywa amnestyą,“ autorowi kontrtragedyi nakazuje odwołanie grubiaństw i oszczerstw.

Współcześnie ze *Sceną ostatnią Pythona* wyszło kilka pisemek radykalnych, jak, Potockiego również, *Pogoda, zabytek prawdy, z greckiego wyjęty...* [2]), Rabaut'a *Uwagi polityczne nad niniejszemi okolicznościami* (Nancy), oraz bezimiennego *Nauki rządzą światem* (Warszawa, 16-a, stron 48). Potocki w sposób allegoryczny apoteozował zwycięstwo rewolucyi francuskiej nad królami i księżą. „Szczęśliwe Delfy (Francya), których jednooki Febus dobroczynnym swym dosięgnął promieniem, uczuły, że jest coś bardziej boskiego w świecie nad wiatry (króle) i geniusze (księży)... Niema uprzywilejowanych: ani samoprawnych wiatrów, ani płatnych geniuszów, ani znękanych ziemian... Delfy zapobiegły zdradliwemu porozumieniu się wiatrów z geniuszami i przesłanicą ich — pomroką ciemnoty. Więc światła Feba zaćmiewać przed ziemiany nikt nie ma mocy. Więc wiatry i geniusze światła odtąd wraz z ziemiany potrzebować będą. Patrzyć weń tak, jak przedtem, a ziemianom go równie zazdrośnie, jako i podstępnie ubliżać i na jego miast podsuwać im ciemności, odtąd wiatrom i geniuszom nie ujdzie.“ Rabaut dogmatyzował hasła rewolucyi, głosił upadek starego porządku, zapalał masy do walki. Broszura *Nauki rządzą światem*, pełna podziwu dla Monteskiusza i Woltera, była okrzykiem uwielbienia dla tych, którzy rozproszyli ciemności, zabili fanatyzm.

Przeciwko tym głosom Surowiecki wymierzył znowu broszurę p. t. *Góra rodząca, bajka sprawdzona w osiemnastym wieku, na schyłku onegoż wyjaśniona* (1792, bez m., 8-o, stron 141). Klęski Francyi podczas rewolucyi przypisuje wolności druku, oraz pobłażliwości królów dla filozofów, których należało pociągnąć na latarnię lub zgnoić w Bastylli. „Popalić Wolterowskiej akademii pisma, pokasować drukarnie, porozganiać kluby i illuminatów, zakon jezuicki przywrócić, rygor św. inkwizycyi hiszpańskiej do wszystkich państw chrześciańskich wprowadzić,“ o to, zdaniem Surowieckiego, środki dla dźwignięcia religii i cnoty. Dla pewniejszego osiągnięcia zamiaru wypadałoby trybunały inkwizycyi wynieść nad trony, dać im prawo wszystkich, począwszy od monarchy, skończywszy na żebraku, egzaminować z katechizmu. Postępowców nazywa poprostu gałganami i łajdakami. „Ja ciebie łajdaku — pisał, zwracając się do autora *Sceny ostatniej Pythona* — i twego pana drukarza zamelduję do JW. Marszałka koronnego... Przydam jeszcze i to, czego nie piszę, — pewno obadwa do prochowni pójdziecie.“ Dla gwałtowności Surowieckiego, zwierzchność duchowna zmuszoną była zabronić mu przemawiania z kazalnic.

W. Smoleński.

cuski przetłómaczył go Wolter (*Oeuvres completes de Voltaire*, ed. 1785, t. 46, str. 315—363). Przekład polski dokonany został prawdopodobnie z francuskiego.

[1]) Lwów. O wyjściu donosi *Gazeta warszawska* z 1 września r. 1792.

[2]) Przez autora pisma „Raczej piórem niż orężem,“ na dokończenie bajki: Wiatry. Godło: Nie temu Pogoda prawdą, żeby Wiatr był fałszem, — Lecz: że istotnie wypada po burzy pogoda, — Lecz że itd. 8-o, bez m. i r., stron 39. O wyjściu w r. 1792 świadczy Surowiecki w broszurze *Góra rodząca*, str. 67.

LITERATURA I SZTUKA.

Z NIEMIEC.

24 stycznia.

„Hedda Gabler,“ nowy dramat Ibsena. — Dramatopisarstwo młodo-niemieckie: „Einsame Menschen“ Hauptmanna i „Neue Menschen“ Bahra.

Wielki poeta skandynawski, którego dramaty odnoszą obecnie tryumfy na wszystkich znaczniejszych scenach europejskich, mieszka oddawna w Monachium, a utwory jego pojawiają się w tłómaczeniach niemieckich zaraz po ogłoszeniu oryginału szwedzkiego. To też niemcy uważają się za pośredników pomiędzy nim a resztą ludów i utworami jego zajmują się tak, jakoby były dziełami rodzimego ich klasyka. Jakaż to różnica między Ibsenem, który w spokoju ducha ogłasza dramat swój drukiem w parę miesięcy przed wystawieniem, a innymi autorami, którzy starannie tają treść, czasem nawet tytuł nowych sztuk swoich, pragnąc wytężyć ciekawość publiczności i do efektu osnowy dołączyć przyjemność niespodzianki! Niedawno Sardou pismu francuskiemu, które wydrukowało akt nowej jego sztuki przed odegraniem jej, wytoczył proces o uszczuplenienie mu dochodów i wrażenia teatralnego. Ibsen zalicza się do innej kategoryi poetów. Utwory jego przeznaczone są dla sceny, lecz i bez niej istnieć mają. Wystawione zwyciężają, lecz jest to zwycięstwo raczej literackie, aniżeli materyalne, kasowe. Pragnie on być klasykiem nowożytnym: ambicyą jego nieśmiertelność, trwałe w literaturze stanowisko, nie goni za efektem teatralnym, ani za pieniędzmi.

Przyszłość okaże, czy miara talentu jego i szerokość widnokręgu umysłowego odpowiada tej ambicyi. Sąd współczesnych o trwałości literackiej utworów często okazywał się mylnym. Narażając się jednak na pomyłkę taką, twierdzimy, że w dramatach Ibsena nie upatrujemy owej najwyższej miary siły poetyckiej, głębokości umysłu, prawidłowości myślenia, odzwierciadlającej prawidłowość przyrody, owej harmonii i swobody, która cechuje poetów istotnie klasycznych. Dramaty jego nie pokonywają owym tajemniczym, a wszechpotężnym czarem doskonałości, który działa na nas w utworach Shakespeare'a, Goethego lub Mickiewicza. Każdy spostrzeże w nich rzeczy naciągane, wady, które nie są wadami geniuszów pierwszorzędnych.

Myśli te nasunął nam najnowszy dramat Ibsena podobnie jak poprzednie. „Hedda Gabler“ [1]) — głosili przyjaciele autora, zanim jeszcze utwór się pojawił — wywoła rewolucyę w poglądach naszych na serce kobiece. Istotnie, bohaterką jest kobieta natury niepowszedniej. Przypatrzmy się jej postępowaniu. Hedda była córką generała: niemajętna, jednak w najlepszem żyjąca towarzystwie, piękna, o żywym, zalotnym temperamencie, doszła do lat dwudziestu dziewięciu, bałamucąc mężczyzn, oczekując prawdopodobnie świetnej jakiejś partyi, która się nie nadarzała. Widząc się u owej fatalnej granicy, którą tak niechętnie przekraczają kobiety bez męża, zrozumiała, że trzeba zdecydować się i wybrać któregoś z konkurentów. Dwóch uczonych stara się w owym czasie o jej rękę: Tesman, człowiek bez polotu, trywialny, lecz dający pewną rękojmię powodzenia materyalnego, i Lövborg, kolega jego młodszy, genialny, lecz zdemoralizowany winem i miłostkami. Hedda czuje pociąg ku Lövborgowi, lecz dbając o życie materyalnie bezpieczniejsze, wychodzi za Tesmana. Suchy ten uczony już w czasie podróży ślubnej staje się dla niej ciężarem, pomimo iż wychodzi na pantofla skończonego. Po powrocie nie tai się ona wcale niezadowoleniem, jakie mąż jej sprawia. W domu Tesmanów zjawia się radca sądowy Brack, dawny wielbiciel Heddy, i ofiaruje jej „przyjaźń“ w rozmowie, przypominającej dyalog Augiera lub Dumasa:

Brack: Wszystko, czego pragnę, oto kółko dobrych znajomych, któremu służyć mogę radą i czynem, w którem bywać mogę — jako przyjaciel wypróbowany.

Hedda. Jako przyjaciel męża, naturalnie.

Brack. Szczerze mówiąc, najchętniej jako przyjaciel żony. No, ale następnie i jako przyjaciel męża, naturalnie. Wiesz pani, że taki — taki *trójkątny* stosunek — w gruncie rzeczy bardzo jest przyjemnym dla wszystkich.

Hedda. Istotnie, podczas podróży brakło mi czasem trzeciego. Fe — siedzieć tak we dwoje w wagonie!

Brack. Na szczęście przebyłaś pani podróż ślubną.

Hedda. Podróż potrwa jeszcze długo. Jestem dopiero u stacyi przydrożnej.

Brack. A zatem wyskocz pani i użyj nieco ruchu...

Hedda. Nie wyskakuję nigdy.

Hedda oświadcza Brackowi, że „nie wyskakuje nigdy“ z tej prostej przyczyny, iż jej się Brack nie podoba. Myśli ona ciągle o Lövborgu, obecnie z goryczą. Przekonywa się bowiem, że rachunek jej był mylnym: nietylko mąż jej stał się dla niej nieznośnym, lecz stosunki jego materyalne są nędzne, a Lövborg przeciwnie jest na naj-

[1]) „Hedda Gabler“ dramat w 4 aktach, tłomaczony przez Emę Klingenfeld. Berlin, S. Fischer.

lepszej drodze do sławy i powodzenia. Opuścił stolicę i został nauczycielem w domu sędziego Elvsteda, którego żona jest koleżanką szkolną Heddy. Pani Elvsted, nie zbyt mądra, ale pełna słodyczy, obdarza Lövborga miłością, a pragnąc szczerze jego dobra, leczy go z opilstwa i nakłania do wykończenia dzieła o „Pochodzie kulturalnym ludzkości.“ Dawniej ograniczony, ale pilny Tesman pobijał zdolnego kolegę, lecz czemże jest jego „Przemysł brabancki w średnich wiekach“ w porównaniu z Lövborgowskim „Pochodem kulturalnym“! Katedra, którą nadać miano Tesmanowi, staje się wątpliwą.

Całego tego układu stosunków Hedda znieść nie może. Kocha ona Lövborga, lecz będąc kobietą złą i samolubną — oto rozwiązanie zagadki jej istoty — nie umie być szczęśliwą dobrem ukochanego: gnębi ją to, że Lövborg, niegdyś jej wielbiciel, dziś leży u stóp pani Elvsted, nie chce dopuścić do tego, aby prześcignął w walce życiowej jej męża, którego ona nienawidzi. Usidla powtórnie Lövborga i nakłania go do pijaństwa. On wybierając się do stolicy, wziął z sobą nowe swe dzieło, które właśnie ukończył. Jest to naturalnie praca epokowa, dla większego więc bezpieczeństwa nosi on rękopis zawsze w kieszeni. Okazuje się jednak, że nie użył najwłaściwszych środków ostrożności. Hedda namawia go, aby wziął udział w wielkiej pijatyce, przy której i mąż jej był obecnym. Odurzonemu Lövbergowi drogocenny manuskrypt wypada z kieszeni, a podnosi go naturalnie Tesman. Wierny swej naturze składa go w ręce żony, która niedługo namyślając się, ciska go do ognia, popełniając, jak sama mówi, duchowe dzieciobójstwo. Kiedy nieszczęśliwy Lovborg zjawia się u niej, Hedda na pocieszenie daje mu jeden z pistoletów. Rozumie on wskazówkę i przyrzeka jej, że „skończy w piękności,“ gdyż Hedda jest entuzyastką piękna helleńskiego. Tymczasem rzecz kończy się wcale brzydko, gdyż Lövberg ginie w buduarze rudowłosej zalotnicy, Diany. Pistolet nabity, spoczywający w kieszeni jego, wystrzelił i zabił go w sposób wcale nieestetyczny. Radca Brack spieszy z tą wiadomością do Heddy i nadmienia, że zna broń, która spowodowała śmierć Lövberga; wtedy Hedda, nie chcąc być w mocy Bracka, kończy również samobójstwem.

Oto treść nowego dramatu Ibsena. Jaka jego idea przewodnia? Chyba żadna. Wypływa zeń jeno ta nauka, że nie należy nosić w kieszeni drogocennych rękopisów, puszczając się na pijatyki, ani pistoletów, kiedy się odwiedza Diany. Tem głębszą jest charakterystyka postaci: trudno oddać wierniej miodołęgę w rodzaju Tesmana, rzadko też kobieta próżna, ambitna, obliczająca zimno, zła i samolubna, lepiej była skreśloną, aniżeli w tym utworze Ibsena. Jeno że takie kobiety nie kończą samobójstwem, lecz dochodzą drogą łaoby i nieprawości do majątku i wpływów.

Lecz cóż zrobić z ostatnim aktem, żądającym nielitościwie ofiar? Trzeba bohaterów strzelać, truć lub topić, inaczej nie masz tragedyi. Fatalna ta tragika ostatniego aktu zgotowała też przedwczesną śmierć bohaterowi najnowszego dramatu Gerharda Hauptmanna. Autor ten, mający najwięcej talentu, najwięcej pieniędzy i najwięcej zmysłu praktycznego wśród rzeszy młodych naturalistów niemieckich, zdołał przed dwoma niespełna laty założyć towarzystwo „Freie Bühne,“ które umożliwiło mu wystawianie dramatów nowego kierunku. Obecnie dźwignia ta stała się dlań już poniekąd zbędną, gdyż wielkie sceny berlińskie zwróciły uwagę na młodego dramatopisarza, a „Deutsches Theater“ ma pono zamiar wystawienia ostatniej jego sztuki. Lecz „Freie Bühne,“ posiadająca niejako historyczne do utworów jego prawo, a przynajmniej prawo pierwszeństwa, tem skwapliwiej wzięła się do odegrania jego najnowszej sztuki, zwłaszcza że dostarczane przez innych dramaturgów naturalizmu młodo-niemieckiego nie wytrzymują najpobłażliwszej krytyki. Świeżo dopiero „Deutsche Bühne,“ współzawodniczka „Freie Bühne,“ będąca pod kierownictwem Bleibtreua i Albertiego, skompromitowała się z kretesem, wystawiając dramat Bahra „Neue Menschen.“ Utwór Hauptmana nosi tytuł „Einsame Menschen,“ a chociaż nie posiada cech istotnie scenicznych, w każdym razie przyznać mu należy niepoślednie zalety literackie. Młody poeta, który dawniej, idąc zwykłym trybem naturalistów, motywów swych szukał w sferze ludowej, obecnie sięgnął wyżej i zamierzył osnuć dramat naturalistyczny na tle kół inteligentnych. Wiadomo, że zadanie to znacznie trudniejsze, gdyż dyalekt często brano za charakterystykę, w typach inteligencyi zaś środek ten zawodzi. Jednak właśnie pod względem charakterystyki umiejętnej, wiernej, konsekwentnej, Hauptmann najbardziej zadawala, a słabą stroną jego pracy jest rozsnucie wątku. Trudno dziś osądzić, czy poecie temu istotnie brak zdolności do zbudowania akcyi prawdziwie dramatycznej, czy jeno wypaczone pojęcia wrodzoną zdolność paraliżują. Wiadomo bowiem, że młodzi naturaliści akcyę prawdziwie dramatyczną uważają za coś nienaturalnego, za konwenans estetyczny, który należy usunąć. Dla nich istnieje tylko sytuacya, pewien zwitek stosunków. Z sytuacyi tej wyrywają pewien moment i przedstawiają go z wiernością epiczną, nie wykluczając z obrazu szczegółów mniej ważnych, w jakie obfituje życie codzienne. Nie rozumieją oni prawideł sceny, które są inne, aniżeli prawa życia.

Napięcie sytuacyi, która zastępuje osnowę w dramacie Hauptmanna, jest dość zajmujące. Dr. Johannes Vockezat, młody uczony, mieszka z żoną Katarzyną („Käthe“) w willi pod Berlinem; rodzice jego, ludzie wielce pobożni, pragnęliby, aby został księdzem, lecz pod wpływem Haeckla młody Vockezat doszedł do panteizmu i porzucił studya teologiczne. Żona jego, to typowa małżonka uczonego niemieckiego, kucharka, gadatliwa, a w obecności męża nieśmiała. Vockezat jest człowiekiem istotnie głębiej myślącym, nadto uczonym i gwałtownym, lecz w gruncie rzeczy serdecznym i dobrym. Sielankę młodej pary przerywa naprzód przybycie rodziców Vockezata, którzy swą pobożnością męczą syna i synowę. Mniej już przeszkadza mu przyjaciel jego Braun, młody malarz, jakich wiele: bez talentu, bez chęci do pracy, bez celu życia. Lecz tragedya rozpoczyna się dopiero z chwilą, kiedy do pani Vockezat przybywa Anna Mohr, studentka zurychska, dziewczyna z niezwykłym sprytem i niezwykłem sercem. Postać ta, podobnie jak Helena w „Sonnenaufgang,“ świadczy o prawdziwym talencie poetyckim Hauptmanna. Nie jest to naturalistyczna karykatura studentki, lecz poetyczny obraz wykształconej kobiety nowoczesnej.

Vockezat i Anna czują serdeczny ku sobie pociąg, nie myślą jednak bynajmniej o wiarołomstwie. Zadawalają się wspólnemi marzeniami o przyszłym czasie, łączącym płci różne przyjaźnią, żądz pozbawioną. Pani Katarzyna zaś nie zna się na platonizmie; płacze, staje się histeryczną, męczy męża miłością i zazdrością, grozi wreszcie, że opuści dom jego. Stara pani Vockezat lamentuje bezradna; ojciec znów dla pocieszenia przytacza słowa biblijne. Młody uczony to rozpływa się w szczęściu, patrząc na ukochaną, to znów rozpacza, myśląc o rozłące. Anna wreszcie — z głęboką prawdą psychologiczną — na decyzyę zdobyć się nie może; już zpakowała kufry i znów je rozpakowywa. Oto sytuacya, z którą Hauptmann widza zapoznaje. Nie powiada, jak długo trwała: mogła trwać tygodnie, ale i miesiące. Lecz wreszcie i dramat naturalistyczny jakoś zakończyć się musi. Anna postanawia opuścić Vockezata i tym razem wykonywa zamiar. Niema jej, a z pobliskiego dworca kolejowego słychać w willi, jak pociąg odchodzi: najpierw dzwonki, potem trąbkę, wreszcie świst i głuchy turkot wagonów. Zapewne że to sztuczka, lecz efekt jej był niezaprzeczony.

Dla Vockezata życie bez Anny nie ma powabu; i on spełnia groźbę kilkakrotnie w ciągu sztuki wypowiedzianą: topi się. Śmierć ta jest jedyną niekonsekwencyą w obrazie jego charakteru. Poznaliśmy go bowiem jako człowieka zbyt miękkiego i niezdecydowanego, iżbyśmy takiego kroku po nim spodziewać się mogli.

Powodzenie trzeciego dramatu Hauptmana nie było większem, niż poprzednich. Młodzi wielbiciele jego śród oklasków wołali „Heil!“, witając w Hauptmannie mesyasza naturalistycznego. Czy jest nim istotnie, okażą następne jego utwory.

Ladawa.

ŚRÓD MUZ

I.

Na pożegnanie starego roku skarżył się ktoś niedawno w jednym z tygodników, że gdy malarze mają dla malarzy zacną wyrozumiałość kolegów, krytycy literaci traktują ich brutalnie. Dzięki swojej, iście seraficznej łagodności, niżej podpisany nie boi się, że go nazwą nożycami na stole wedle znanego przysłowia, może więc z całym spokojem na ów żal odeprzeć w imię prawdy i słuszności, ażeby z początkiem roku nowego nie miano go za takiego sprawozdawcę, co nawet nie pomyśli o tem, czy i o ile ma prawo rozglądać się po dziełach dłuta i pędzla nie jak po świątyni z odkrytą głową i gotowem klęknąć kolanem, lecz jak po świeckiem zupełnie muzeum.

Wiele rozumować na ten temat — daremna strata czasu. Dziatwa Apellesa i Fidyasza ma się za kapłanów, a cały świat, dla którego jednak maluje i rzeźbi, za filistrów i laików. Nauka, poezya, literatura to rupiecie, które należy wymiatać furami. Ludzkość na artystach się zaczyna i na nich kończy. Czy nie znajdujesz, czytelniku, że sam widok jednej z tych aroganckich „frac,“ których każdy raut kliki liczy zwykle parę egzemplarzy, jest w stanie natchnąć psotą, mimo, iż dla lepszego ogółu artystów ma się uznanie, sympatyę i pragnęłoby się jaknajprzyjaźniej opinię dla nich uspokoić?

Między braćmi po piórze znajdujesz zaledwie parę, z tak piramidalną butą i zarozumiałością, jaka u wielu malarzy weszła we wzrok i sposób mowy.

Nie, szanowni aspiranci do niewiędnących nigdy laurów. Najpierw, literat umie spozierać na twórczość geniuszu ludzkiego z wysokości lotu orła i wie, że w jej ogólnej ekonomii są działy ważniejsze i sprawy bardziej palące, niż kwestya szerokiego malowania i wylizywania, są zagadnienia wobec których chce się i wolno zapomnieć na śmierć o rywalizacyi pomiędzy asfaltem i kremserweisem, bo walka między światłem a cieniem, między czarnem a białem wre na polach bardziej rozległych i z żarem, tysiąckroć wyższym. To jedno i to wystarcza dla usprawiedliwienia pokusy przytarcia wam rogów.

Powtóre literat wie doskonale, że wprawdzie arkana techniki są głębokie i wielkie, za głębokie dla ślepych oczów takiego jak gryzmoła, kreta, ale pamięta też, że społeczeństwo odpowiednio przygotowane, potrafi wniknąć w naturę i zakres każdej sztuki i wspiąć się nawet do możności ocenienia, co dobre a co złe. Każdy obraz i każda grupa są kombinacyami wypadkowemi mnóstwa czynników estetycznych, śród których są np.: wrażenia czysto zmysłowe, jak stosunek barw i linij, dalej: sto-

pień umiejętności, typ, charakterystyka, sentyment, prawda, świeżość motywu, niezależność od gustów tłumu i handlarzy, indywidualność autora itd. itd.

Proszę mię zapewnić i złożyć dowody, że 1) pierwiastków szukanych przez nas w każdem dziele sztuki jest mniej, że 2) *wszystkie* dostępne są *tylko* fachowcom i 3) że na żywiole duchowym lepiej się zna jednostronny z konieczności specyalista, niż wielostronny z obowiązku pisarz, a stanę się nagle drugim Piotrem z Amiens (pod względem finansowym jestem doń już podobny) i głosić zacznę krucyatę przeciw literatom, piszącym o malarstwie. Zgoda?

Na finał jeszcze tylko garstkę wspomnień. Do najbardziej szlachetnych objawów koleżeństwa i wyrozumiałości należą: Wzmianka Matejki o Aleksandrze Gierymskim, na którą nawet bigoci krakowskiego kultu, spluwali z niesmakiem, artykuł Witkiewicza o Rosenie, nagrodzonym przez jury wystawy powszechnej w Paryżu. Było to takie pobłażanie, że aż pół kolonii naszej w Monachium ogłosiło przeciw niemu protest. A sam Gierymski, mimo że lubi otaczać się rodzajem szkoły i wbrew swemu obrzydzeniu dla Akademii, wzdycha po cichutku do honorowej bodaj profesury — suchej nitki nie zostawia na żadnym z kolegów. Nie słyszałem, żeby kogokolwiek prócz jedynego Meissoniera, nazwał np. *idyotą* + *coś*, nie! zawsze tylko „idyotą" czystym.

Zaprawdę, powiadam wam, gdyby mię nieba stworzyły były na obraz i podobieństwo Zeuksisa lub Parrhasiasza, z nadmiaru rozczulenia taką ewangieliczną słodyczą mych kamratów, pewnego pięknego dnia pękłbym na dwoje...

Bądźcobądź zarzut ów i lekcya sprawowania, acz nie do mnie skierowane, nauczyły mię *mores* i będę się odtąd liczył ze słowami. Mówiąc dajmy na to o „Niemych Seraju" Pawła Boucharda, nie wyznam otwarcie, jak bym tego pragnął z duszy serca, że podobnie błazeńskiego płótna Warszawa dawno już w murach swych nie oglądała, lecz zadowolę się możliwie spokojnem zważeniem jego wad i zalet.

Najpierw tedy kompozycya obrazu jest wzorowana niewolniczo na fasadzie sklepu chińskiego z herbatą, co — przyzna każdy — mało sprzyja spotęgowaniu grozy, jaka leżała niewątpliwie w intencyi autora a jaką tchnąć powinna scena uciekania odalisek przed widmem śmierci, wcielonej w miecz i pętlicę.

Powtóre, huryski zbijając się w kupę nakształt owiec, czujących burzę, wykonywają wprawdzie odruch bardzo naturalny i trafnie dostrzeżony, ale sposób, w jaki to czynią, przywodzi raczej na myśl, że murzyni, przybyli nie żeby je pochwycić na stracenie, lecz żeby je połechtać trochę, pobaraszkować się i spełnić inne jeszcze analogiczne rzeczy. Ani jedna z tych mających wyrażać śmiertelną trwogę twarzyczek nie zdradza czegoś więcej nad ciekawość, która usiłuje być lękiem. A nadto w jednym kącie skupiło się ich tyle, że zachodzi obawa, co się stało z ich niewidzialnemi nogami; czyżby Allah zwolnił je z fizycznego prawa nieprzenikliwości i pozwolił sześciu lub siedniu parom nóg i bioder skurczyć się tak, by zajmowały tylko miejsce dla trzech — czterech?

Jedna huryska leży zemdlona, ale oparta wygodnie plecami o estradę, na której kłębią się jej siostry w niedoli. Jest to pozycya tak szczęśliwa, że przecudownie uwydatnia biały i pełny tors; gdyby zaś była choć trochę możliwą i prawdopodobną, z pewnością panie nasze mdlałyby bardzo często. Ale tylko w sferze wpływu hypnozy takie wyłamywania ciał zdarzają się. Mistrz francuski musiał swą modelkę — jeśli *notabene* używał jej — dręczyć aż do okrucieństwa, wyprężać piersi, przechylać głowę w tył i zarazem w bok; a jednak tego wszystkiego dokazało pospolite omdlenie!

A jej fizyognomia... Dziw nad dziwy. Wielki gipsowy owal, przerznięty trzema bajecznie prostemi i równoległemi liniami: jedna z nich to oczy zamknięte, druga — usta zaciśnięte, trzecia — podbródek.

Jest to w całej pełni zemdlony księżyc z kalendarza.

Inna, jakgdyby probując uciec, zbliżyła się do bocznych drzwi; uniosła portierę i cofnęła się przerażona; widzimy tylko kontur odwróconej ku nim twarzy; ale artysta nadał mu ekspresyę, dzięki której odgadujemy, co się dzieje w duszy skazanej: oto połknęła muchę i zrobiła cierpką minę; muskuły policzków zbliżyły się ku skroniom i zaburwiły czerwonym rąbkiem, który w najopłakańszy sposób ma oznaczać refleks materyi.

Kat, stojący w ciemnej alkowie, z białą mycką na głowie i gołem żelazem w dłoni, jest sprawcą tego efektu. Dalibóg, nic mi jeszcze tak bliźniaczo nie przypomniało króla Heroda z krakowskich szopek jak ten głupowato uśmiechnięty, łypiący białkami oczów babuk.

Z przeciwległej strony wchodzi zgraja czarnych; jeden biegnie ku kobietom, pochylając się w niewytłomaczony sposób; reszta, z wyrostków złożona, jest o wiele lepszą. Głupkowata ciekawość nieźle maluje się na ich rysach, ale czyż z sznurami w rękach zgadza się tego rodzaju obojętny nastrój? Zresztą nie trzeba tracić z uwagi, że sztuka robienia murzynów stereotypowych dawno już doszła do perfekcyi. Toć nawet w oknach wystawowych dystrybucyj i wędliniarni wyglądają oni nie najgorzej.

Jeśli dodać do tego, że arcydzieło Boucharda jest rozmiarów ogromnych, a postacie mają naturalną wielkość, że niema tam ani jednego ładnie narysowanego ramienia, że robota razi twardością i nawet wieczorem, w świetle elektrycznem nic a nic nie zyskuje, że akcesorya są banalne, jak niedzielne panoramy: wynik będzie prosty, że zarząd salonu Krywulta ma niesłychanie wykwintny gust.

Lat trzydzieści temu podobne „kicze" z sensacyjnymi podpisami mogły u nas popłacać, ale dzisiaj, gdy sztuka swojska zrobiła wielki krok naprzód, kiedy przyjeżdżają z Paryża i Monachium dobre malowidła dobrych malarzów-rodaków, firma Boucharda sprawia wrażenie takie, jak np. szyld kramiku z zaułka, opiewający: „Zegarki genewskie," albo „Krawiec paryski."

Samo się rozumie, że wielu osobom „Niemi seraju" trafiują więcej do smaku, niż sąsiadujący o ściankę po powrocie z wędrówki „Dramat w hotelu" Henryka Piątkowskiego. (Panienki zakradając się do owej ustroni, gdzie obraz ten wisi, starannie unikają wzroku mężczyzn: owoc zakazany). Swego czasu nie było sposobności mówić o nim; inni z rozmysłu pomijali go milczeniem, jakby to było jedno z tych tuzinkowych bawidełek, o których przyjściu na świat donosi się ryczałtowo w rubryce: „Na wystawę... przybyły następujące obrazy..."

Treść nawiązana była do prawdziwego faktu i ta jej „aktualność" powodowała pewne uprzedzenie. Dzisiaj przestaje być skandalem, a staje się dramatem na prawdę.

Bohaterka tego smutnego *in flagranti* trąci o milę paletą p. Piątkowskiego. Ta sama, ulubiona snać, cera koloru smagło-zielonawego, te same oczy przesadnie duże i przesadnie piękne; typ twarzy woskowo-fryzyerski i szablonowy, ale za to biust, ramię i ręka wykończone starannie, plastyczne, jędrne i smakowite. Drugim okazem tego stereotypu jest pokojówka w tłumie, cisnącym się przez otwarte drzwi do numeru. Dziwne to, że autor posiada tak szczupłą skalę figur kobiecych.

Całe zbiegowisko, traktowane po macoszemu: lokaj zanglizowany, doskonały w charakterze, z swymi apatycznie przygasłymi oczyma, za wiele już ma na twarzy spokoju; inni także grają swe role raczej jak bezduszni statyści, ale to wszystko niezdolne jest osłabić tragedyi, która się rozgrywa na planie głównym, w pośrodku terenu. Żeby ją należycie ocenić, przerwij, widzu, na chwilę swą kontemplacyę i pomyśl, jakiem olbrzymio trudnem jest zadaniem odtworzyć wedle wymagań nowszych, a więc przedewszystkiem z prawdą psychologiczną, taki ultra-natężony moment, jakim musi być niespodziane wtargnięcie męża na widownię wiarołomstwa, gdy ten zwłaszcza mierzy z rewolweru w pierś uwodziciela.

A teraz możemy powiedzieć odrazu: artysta wywiązał się *znakomicie*. Wysoce napięty i złożony motyw nietylko wykonał, ale, co się rzadziej trafia, pojął, jak nie można lepiej. Jego bohater to młokos, fircyk i tchórz. Widzimy tylko jego profil, ale z tego profilu wyziera cała dusza, wylękła śmiertelnie, osłupiała i sparaliżowana. Oko bielmem prawie zaszło, rozwarte chorobliwie; głowa wyciągnięta naprzód, jak gdyby zamagnetyzowany larwą śmierci, wpatrywał się w lufę rewolweru, palce u rąk sztywnieją porażone i cała postawa składa się na taki obraz nadludzkiego przestrachu, zdumienia i odrętwienia, że uczuwasz naprawdę przedsmak grozy realnej nagiej, nie tej, co upiększona i uscenizowana paraduje w powieściach, lecz tej, co występuje w dyszącej krwią i namiętnością zbrodni rzeczywistej.

Najcelniejsza to bez wątpienia kreacya p. Piątkowskiego i na jej widok trzeba *volens nolens* zgodzić się, że jego silną stroną, w której mało kto rywalizować z nim zdoła, jest właśnie groza.

Mniej już pola do popisu przedstawia postać zdradzonego męża, choć i w nim z wielką siłą drga jedyne kipiące teraz uczucie: zjadliwość, która oślepia, rozbestwia i wszelkie inne akcenta z twarzy usuwa. I on jest blady aż po źrenice stygmatem zemsty.

Za plecami jego ktoś usiłuje przeszkodzić strzałowi i chwytając za wyprężoną rękę, pasuje się. Obadwaj tedy tworzą splątaną grupę, której część tylna mniej przemawia do nas, bo razi pewnem naciągnięciem. Nie w ten, nieudolny i bezskuteczny sposób ujawnia się nagle wstawiennictwo, gdy można zabiedz z boku. Tu już malarzowi chodziło o skomplikowany ruch i dla niego poświęcił prawdę.

Na osobną ocenę zasługiwałaby scenerya; dla zwięzłości niech wystarczy, że atmosfera podrzędnego hotelu z jego błyszczącą tandetą w obiciach i sprzętach pochwyconą została i wystudyowaną subtelnie; trafność niektórych szczegółów wywołuje aż uśmiech. A przytem wszystko ma wyborną plastykę i światłocień, zaś skrawek zielonego za drzwiami korytarza, rozjaśnionego niewidzialnem oknem bocznem, do złudzenia pogłębia plan.

Prawdziwa szkoda, że Piątkowski tak goni za efektami dosadnymi. Nie będąc świętoszkiem, nie myślę oburzać się na treść; wolno żądać od artysty tylko racyonalnej psychologii. Ale dla własnego swego dobra byłby uczynił lepiej, ubierając dramat w szaty bardziej wytworne, nie tyle brutalne i rażące nienawykły do silnych frykcyj ogół.

Ot, należało przenieść akcyę do buduaru „śmietankowego." Strzał byłby wówczas źle wychowanym, ale hipokryzya oblizywałaby się...

Cezary Jellenta.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY WIEDEŃSKIE

16 stycznia.

Jubileusz Grillparcera.

Tydzień ubiegły poświęcony był w Wiedniu uroczystemu obchodowi setnej roczni-

cy urodzin Franciszka Grillparcera, największego poety austryackiego. Największego, lecz nie najpopularniejszego; imię jego bowiem głośne jest i znanem będzie każdemu wiedeńczykowi, lecz dzieła jego nie przedostały się do ludu. Grillparcer był dziwnym typem poety: od młodości aż do śmierci rozgoryczony, stroniący od świata, a przytem idący zwykłym trybem życia, uginający karku pod jarzma najcięższe. Urodził się i wzrastał w czasie absolutyzmu, zabijającego swobodę umysłową. W młodym wieku został urzędnikiem państwowym i zwolna awansował. Umarł jako dyrektor archiwum państwowego, jako radca dworu i członek Izby panów, obsypany zaszczytami: lecz nigdy nie zaznał w życiu zadowolenia, ani szczęścia. Była to natura nerwowa, miękka, pozbawiona siły woli. Od czasów młodzieńczych kochał się w kobiecie godnej istotnie miłości, w Katarzynie Fröhlich, lecz nigdy nie zdobył się na postanowienie poślubienia jej. W karyerze literackiej nie umiał przykuć do siebie powodzenia: po głośnym tryumfie pierwszych jego dramatów „Die Ahnfrau“ i „Safo,“ napisał trylogię, dramatyzującą mit o argonautach. Wielkie to dzieło przepadło, a poeta głęboko był rozżalony. „Wierny sługa pana“ ze względów politycznych nie mógł być wystawionym, „Des Meeres und der Liebe Wellen,“ tragedya Hery i Leandra, zimne znalazła przyjęcie. „Sen życiem“ był oklaskiwany w Burgu, lecz już następną sztukę Grillparcera, „Bieda temu, kto kłamie,“ spotkała jawna niechęć. Od tego czasu obmierzł mu teatr; pisywał dla siebie i chował rękopisy. Rok 1848 zastał go jako samotnika rozgoryczonego. Pragnął zostać dyrektorem biblioteki nadwornej, lecz baron Münch, który jako poeta pod pseudonimem Halma wyparł go z łaski wiedeńczyków, i tu go pobił. W ostatnich dopiero latach życia zaczęto go czcić. Dawano mu wszystko hojnie wówczas, kiedy mu już brakło sił do pracy i zdolności do radowania się. Laube jako dyrektor Burgtheatru wygrzebał sztuki jego, w Izbie panów sędziwego poetę witała arystokracya, lecz Grillparcer, żałując, że przez lata najlepsze żyć musiał bez zachęty i uznania i że nigdy w pełni rozdmuchać nie zdołał ognia geniuszu swego, nie cieszył się powodzeniem, ani zaszczytami.

Już za życia urządzono mu owacye, pogrzeb jego uświetniono przepychem niebywałym, a dziś wiedeńczycy pragnęli okazaloj jeszcze uczcić pamięć zmarłego poety. Burgteater i Volksteater wystawiały jego sztuki, liczne stowarzyszenia urządzały odczyty publiczne, poświęcone jego pamięci. Magistrat zaś w salach miejskiego muzeum historycznego urządził wystawę Grillparcerowską. Wystawa poety? — zapytacie — cóż w niej być może? Chyba rękopisy jego utworów, które w jednej pomieszczą się szafie. Lecz komisya pomysłowo wzięła się do rzeczy. Zestawiła ona z trudem niemałym wystawę o olbrzymich iście rozmiarach: jest to życiorys w obrazach, pamiątkach i dokumentach. Zebrano portrety wszystkich osób, które jakikolwiek wpływ wywarły na Grillparcera, z którerni poeta krócej lub dłużej obcował. Obrazy panującego i wybitnych mężów stanu przypominają atmosferę polityczną następujących po sobie okresów jego życia. Inna grupa zapoznaje nas z rodziną poety i z jego profesorami. Dalej widzimy dyrektorów i aktorów Burgteatru, którzy wystawiali i grali jego sztuki. W innym oddziale poznajemy kobiety towarzystwa wiedeńskiego, w którem Grillparcer bywał: rodziny Arnsteinów, Eokelerów, Geymullerów i t. d. Stosunek Grillparcera do Beethovena i Schuberta ilustruje osobna salka, tam też widzimy oryginalne kompozycye Grillparcera, który wiele muzyką się zajmował. Cała historya Austryi i Wiednia w ostatniem stuleciu rozwija się przed nami w szeregu sztychów; na przeciwległej ścianie widzimy kraje i miasta, jakie poeta zwiedzał i portrety osób, które poznał w swych podróżach. Rękopisy dzieł jego, świadectwa szkolne, dekrety, odnoszące się do karyery urzędniczej, dalej widoki domów i ulic wiedeńskich, gdzie mieszkał, wypełniają inny oddział. Pamięci „wiecznej narzeczonej“ poświęcona jest osobna szafka oszklona, w której widzimy mnóstwo portretów p. Fröhlich oraz podarunki jej narzeczonego. Spotkaniu Grillparcera z Goethem poświęcono salę całą. W środku wszystkich grup umieszczono biusty Grillparcera, wykonane za życia jego przez zdolnych rzeźbiarzy; ostatnią salę wystawy przeznaczono na portrety, których zebrano okazałą ilość. Stąd wchodzimy do „pokoju Grillparcera,“ gdzie mieszczą się meble mieszkania sędziwego poety. Meble te nabyło muzeum. Tak czczą wiedeńczycy swych poetów... zmarłych.

Stwosz.

SĄDOWNICTWO W GALICYI.

Lwów, 20 stycznia.

Najcięższe krzywdy, pod jakiemi ugina się biedna ludność Galicyi, wyrządza jej sądownictwo. Instytucya ta, wytwór biurokratyzmu austro-niemieckiego, przebranego w kontusz szlachecki, dziś mocno wyszarzany, nie odpowiada wcale potrzebom narodu, dla którego też pomimo swego spolszczenia jest zupełnie obcą. W rozległej dziedzinie prawa niema u nas równowagi między teoryą a praktyką; pierwsza wybujała w oderwaną od życia abstrakcyę, a druga przeszła w bezduszny empiryzm. Słusznie nazwano sądownictwo nasze pajęczyną, przez którą przebije się bąk, a w której uwięźnie mucha. Ową muchą jest nasz lud, który z braku znajomości ustaw przegrywa najsłuszniejsze sprawy, a wobec pajęczego powiązania tysiącznych przepisów austryackiej formalistyki, nikt mu nie wskaże drogi, którą ludzkość iść każe, a tem mniej — którą bąki latają. „Procedury“ sądownicze nasze są tak olbrzymio rozgałęzione, pomotane i połatane różnemi rozporządzeniami i okólnikami, że z zasadniczej ustawy niemal nic nie pozostaje, a dzielny prawnik nie może się w tym chaosie połapać. Wyniki procesów cywilnych polegają zawsze jeszcze na banalnym przepisie, że sędzia sądzi li według stanu aktów (Quod non in actis—non in mundo). Istotną zaś plagą są t. zw. prowizorya. Lud nasz, nie rozumiejąc wcale ich podstawy, puszcza się na drogę procesów, których koszta nigdy mu się nie wracają. Nęcące dochody, pobierane przez odnośne komisye, unicestwiają w samym zarodku wszelką zgodę i są podstawą do pieniactwa między powaśnionymi. Lada sprzeczka o piędź miedzy wywołuje sądowe prowizorya kilku lub kilkunastoletnie, zamiast prostego załatwienia za pomocą urzędu gminnego w myśl ustawy polowej.

Przedewszystkiem uderzającą jest olbrzymia liczba ustaw naszych, a w nich przerażająca ilość paragrafów. Dla każdej niemal sprawy życia społecznego istnieje osobna ustawa, niemająca częstokroć żadnej łączności z innemi. Jeżeli reprezentacya krajowa, złożona z pierwszorzędnych powag prawniczych, nie może wybrnąć z tej gmatwaniny różnorodnych przepisów, wskutek czego uchwalone nowele nie otrzymują sankcyi dla sprzeczności z istniejącemi już ustawami, to nic dziwnego, że lud nasz, niemający o ustawach najmniejszego pojęcia, nie jest w stanie objąć tego ogromu swoim umysłem, zwłaszcza że stylizacya ich jest niejasna i podlega wielokrotnym sprzecznym tłomaczeniom nawet ze strony najwyższego trybunału sprawiedliwości.

Ustawy nasze powstawały w rozmaitych dobach politycznego ustroju państwowego, toć nic dziw, że każda taka doba wycisnęła na nich swe piętno. Mamy więc ustawy z epoki absolutyzmu i konstytucyjnej, mamy też ustawy z okresu przejściowego. Tylko uczony specyalista opanować zdoła częściowo ten odmęt stuletnich dekretów i nowel, krzyżujących się i wyłączających nawzajem. Każdy niemal proces wisi dopóty na włosku, dopóki strona przeciwna ma jeszcze głos, a od sprytu adwokata zależy, czy mu się uda wynaleźć na swą korzyść jakiś hofdekrecik, który zbija twierdzenie hofdekretu przytoczonego przez stronę przeciwną. Wynik tak prowadzonych sporów jest niezawisłym od faktu, ale od paragrafu. Całe niemal ustawodawstwo z labiryntem najszczegółowszych przepisów stoi jak gmach starożytny z licznemi przybudowaniami, poważny i szacowny, ale niezamieszkały, obok którego wre życie codzienne w prostych szałasach, gdzie gnieżdżą się obok siebie wyzyskujący i wyzyskiwani „obywatele.“ Już sejmowa komisya prawnicza, obradująca w przedmiocie ulepszenia stanu sądownictwa, zauważyła, iż sprawiedliwość wymaga reformy dzisiejszego powolnego i z wielkiem dla sędziów obciążeniem połączonego postępowania. Obok tego jednak koniecznym warunkiem wszelkiej naprawy jest uposażenie naszego kraju w taką ilość sił, jaka do należytego funkcyonowania sądownictwa jest potrzebną i jaką inne kraje koronne od dawna posiadają. Jest statystycznie stwierdzonym pewnikiem, że i w stosunku do obszaru i do ludności Galicya za mało ma sądów i sędziów, a co do prowincyi — za mało adwokatów i notaryuszów. Przeciętnie przypada jeden sąd powiatowy w Galicyi zachodniej na 32.054, a w Galicyi wschodniej na na 34,557 mieszkańców. W całym kraju wpływa do jednego sądu powiatowego przeciętnie 11,679 podań. W sądzie zaś powiatowym stolicy było w ostatnim roku sprawozdawczym 76,220 spraw cywilnych! Czyż wobec takiego nawału pracy podobna sądzić sumiennie i z całą ścisłością? Sądownictwo stolicy kraju najmniejszą jest otoczone opieką, a najjaskrawiej występują te braki przy sprawach, przekazanych trybunałom powiatowym. Organizacya z 1855 r. zaprowadziła dla miasta Lwowa i przedmieść jeden sąd powiatowy. Od tego czasu jednak ludność się podwoiła, sprawy niemal się potroiły, a przecież istnieje zawsze jeden tylko sąd powiatowy dla spraw cywilnych. O wiele ważniejszą jest okoliczność, że z powodu ogromnego i ciągle wzrastającego nawału pracy niemożliwem jest szybkie i sumienne załatwienie, te dwa główne warunki wymiaru sprawiedliwości.

W dalszem następstwie pojawiają się owe osławione w naszych urzędach zaległości, wzmaga się ilość apelacyj do sądów wyższych, na czem znów cierpią strony i instytucye. Zasadniczą myślą organizacyi sądowej jest to, aby naczelnicy sądów powiatowych, jako starsi i doświadczeni, wyrokowali sami. Wręcz przeciwnie dzieje się u nas, gdzie czynności te wykonywają pomocnicy sędziowscy, tj. adjunkci, auskultanci lub praktykanci, a rewizya naczelnika stała się czczą formalnością z powodu ogromnego nawału pracy, któremu nie podoła siła ludzka. Ale nawet ci młodzi urzędnicy tak są obarczeni pracą, że zamiast sprawy gruntownie badać, muszą staczać zacięte walki z „restancyami“ i piorunem „referują.“

Przewlekłość procesów galicyjskich, łączących się nieraz przez kilka pokoleń, stała się przysłowiową. Dalsze źródło złego spoczywa już nie w ilości, lecz w jakości sądownictwa, którego niski poziom umysłowy wynika z niedostatecznego uzdolnienia i z braku wiadomości prawniczych u sędziów. Nie masz niezawodniejszej metody do poznania objawów społecznych, niż ta, która naśladując niejako chemię, idzie

w rozwoju ewolucyjnym badanego przedmiotu za jego przeobrażeniami. Dla naszego stanu prawniczego początek tego rozwoju leży w prawno-historycznych studyach uniwersyteckich. Nie uchylając świętokradzką ręką zasłony tego „najpoważniejszego“ przybytku nauki, służącego dziś tylko za szczebel do „karyery“ takim Bilińskim, Bobrzyńskim, Rittnerom, itp., powiemy tylko to, co jest publiczną tajemnicą, że nauka prawa na naszych wszechnicach nie odpowiada swemu celowi i że w studyach uniwersyteckich tkwi zaród całego dzisiejszego upadku stanu prawniczego w ogóle, a sądownictwa w szczególności.

Dzisiejszy rozwój nauki domaga się specyalizacyi. Poznać prawa handlowego, cywilnego, karnego, administracyjnego itd., nie potrafi dziś, ściśle rzecz biorąc, nikt, tak samo, jak nie zdoła być jednocześnie dobrym nauczycielem języków, muzyki, matematyki itd. Tymczasem wartość dzisiejszej wiedzy prawników jest przeważnie taką, jak wartość t. z. środków uniwersalnych. Stan np. sędziów i obrońców tak jest odmienny, że można niełodwie powiedzieć, iż ten, kto będzie wzorowym sędzią, nigdy nie potrafi być dobrym adwokatem lub prokuratorem. Tymczasem różnicy tej nie uwzględniają ani uniwersytety, ani sądy. Ekonomiczne prawo, jaka potrzeba (popyt) taka podaż, reguluje nietylko stosunki targu towarowego i pieniężnego. Na wielkiej tegoczesnej giełdzie pracy panuje ta sama zasada. Coraz mniej ludzi poświęca się pewnemu zawodowi tylko z popędu wewnętrznego lub—jak zwykliśmy mówić—z powołania. O ile pewien stan przedstawia więcej widoków powodzenia, przy mniejszym równocześnie nakładzie pracy, o tyle będzie wzrastać liczba kandydatów i ich kwalifikacya. Jakież widoki przedstawia dziś stan sędziowski? U samego wstępu kilkuletnia praktyka bezpłatna, następnie zamałe do życia, a za wielkie do głodowej śmierci „adjutum,“ dalej stanowisko adjunkta, z płacą, która już przy rodzinie z kilku osób pozwoli zaledwie na nędzne istnienie. Mimo to znaczna liczba prawników stan ten obiera głównie dla tego, że już studyom prawniczym za wielka poświęca się liczba młodzieży, która skończywszy je, łaknie chleba, a nie mogąc znaleść go gdzieindziej, idzie za tem pragnieniem bodaj przez ciężki, głodowy prawie nowicyat. Wstąpiwszy na tak zwaną praktykę sądową, potrzebuje młody prawnik wskazówek, któreby mu ułatwiły najtrudniejsze zadanie stosowania teoryi (jeżeli ją posiada) w praktyce. Atoli przy obecnym nawale pracy a szczupłej liczbie sędziów, zamiast nauki praktycznej widzimy robociznę, pozbawioną wszelkiego umiejętnego kierunku, a mającą na celu jak największe wyzyskanie młodych, niedoświadczonych sił. Słowem, system, wychowujący urzędnika a zabijający — sędziego. System ten, który ludzi niedojrzałych, potrzebujących jeszcze lat całych nauki i doświadczenia powołał do mnogich, doniosłych w skutki czynności sędziowskich nazwano „auskultantyzmem,“ chorobą, na którą austryackie sądownictwo od długich lat cierpi i która je doprowadzi do anemii. Zawód też sędziego traktują u nas z nielicznymi wyjątkami jako „Brodstudium.“ Zanim auskultant otrzyma bezpłatny urząd — napracuje się całych lat szesnaście w szkołach, co kosztuje kilka tysięcy guldenów, poświęca zdrowie i młodość, aby lekcyami lub pracą biurową zarobić na kawałek chleba; zostawszy urzędnikiem dalszych kilka lat pracuje bezpłatnie i bez możności ubocznego zarobkowania, na które mu nie stanie ani czasu, ani sił fizycznych. Dalszych więc lat niemal dziesiątek, przy obecnem mianowicie zapchaniu urzędów, musi żyć na cudzej łasce. Samoistność i nieodpowiedzialność sędziowska, te dwie prześliczne własności stanu, stają się wtedy narzędziem moralnej zatraty charakteru. U nas, gdzie nasi bracia wyznania mojżeszowego posiadają wyrafinowany zmysł obchodzenia wszelkiej ustawy, czynności urzędowe takich bezpłatnych szafarzy sprawiedliwości są częstokroć narażone na pokusy, którym nie ulegać należy prawie do niemożliwości... (D. c. n.)

Beta.

NIEZGRYZIONY ORZECH.

Sprawa wychodźctwa brazylijskiego, los emigrantów po przebyciu oceanu — ciągle są jeszcze nierozstrzygniętą i niewyjaśnioną zagadką. Właściwego stanu rzeczy nikt dotychczas dokładnie i wiarogodnie nie przedstawił: ani listy pisywane przez nieszczęśliwe ofiary nieprzyjaznych warunków emigracyjnych, ani tem bardziej, niestety, korespondencye p. Dygasińskiego. Pierwsze dlatego, że są informacyą podawaną w szczególnych warunkach psychicznych, nadto zaś, będąc pojedynczymi głosami i odznaczając się pewną sprzecznością, mimowoli budzą podejrzenie. Jako więc ceba sprzeczne i odosobnione, nie malują wiernie i wszechstronnie istotnego położenia rzeczy. Listy tych biedaków, niemogących na razie pogodzić się z nowem otoczeniem i stęsknionych za cichym a ciasnym kątem rodzimym, niewątpliwie mieszczą w sobie prawdę, o ile się to tyczy tych, którzy je pisali. Ale one nie wyczerpują całej korespondencyi wychodźców z krajem.

Nadzieje pokładane w misyi p. Dygasińskiego zostały zawiedzione. Z tego, co *Kuryer* kapie po kropli, delektując się, niewiele można się naczyć. Korespondencye jego Stanleya, chociaż od paru miesięcy jest już w Brazylii, właściwie nie uchyliły jeszcze dotychczas wcale zasłony, pokrywającej wychodźctwo. Co najwięcej przyniosły nam kilka obrazków w rodzaju następujących:

„Już o kwadrans drogi za miastem (Itajahy w stanie St. Catharina) dostajesz się w okolicę bagnistą i zarosłą gąszczem wijących się, jak węże, krzewów: wszystko się splata, płącze, wiąże, a czasem tylko błyśnie tu i owdzie woda; jest to dolina rzeki, po za którą na niebieskiem sklepieniu rysują się góry z zamglonymi wierzchołkami, świerszczenie milionów piewików, śpiew ptaków rozlegają się dokoła; połyskują barwą piękne kwiaty, przelatują pyszne motyle. Przedzieramy się przez jakieś ścieżki, strugi, niekiedy konie grzęzną. W godzinę już byliśmy w miejscowości suchej, nieco wyniesionej ponad doliną. Las i las tylko, lecz las rozkoszny, wonny, gwarny od śpiewów ptasich, pełen ruchu... Z gąszczów wynurza się kolonia za kolonią. Są to małe domki z oknami, lecz bez szyb, a czasem tylko z okienicami; strzecha czasem z suchych liści palm, czasem dachówka bardzo gruba, czerwona. Około domu ogród, w nim banany, pomarańcze, drzewo kawowe, brzoskwinie; w polu — kukurydza, dynie, fasola i t. zw. pataty, tj. rodzaj kartofli. Żadnych innych zabudowań tu niema; krowy, kozy, trzoda chlewna — wszystko koczuje pod gołem niebem. A po za kolonią znowu las, znowu gąszcze, przez które nieraz trudno się przebić.“

W ramki tej sielanki wprawiony został melodramat ludowy. W budach, w ruinach jakiegoś starego domostwa odkrył p. D. gromadkę chłopów polskich i powitał „pochwalony.“ Wszystko jedno, co kij w mrowisko wsadził! „Nie macie wyobrażenia — powiada — ile tu łez popłynęło w przeciągu pół godziny... Powiedziałem im, że przyjeżdżam z wizytą do nich z Warszawy, aby zobaczyć, jak się mają. Dopiero jęki rozpaczy, krzyki i płacze!.. Na wspomnienie kraju ludzie rzucają się do mnie, jak szaleni, przeklinają chwilę, w której opuścili ojczyznę, złorzeczą agentom, doradcom — słowem, mam przed sobą scenę, której słowami nie jestem w stanie oddać...

— Jak pan wróci, niech pan da znać do Józefa Szczepańskiego, Adamowi Szczepańskiemu w Drogiszkach przez Mławę, żeby się tu nie ważył przybywać; niech go Matka Boska broni! — woła jeden.

— Panie, panie, zlituj się nade mną, napisz do proboszcza ks. Osuchowskiego w Orlu, stacya Izbica, niech powie ludziom, żeśmy strasznie nieszczęśliwi! Żyjemy, jak zwierzęta w lasach, ani ludzi, ani kościoła!

— Całe życie będę służył darmo — woła jakiś chłop szpakowaty, lecz tęgi jeszcze — a niech kości złożę na swoim cmentarzu.

W ekstazie dziwnej jakiejś tłoczą mi się do rąk, do nóg, do szyi, nie mogę sobie dać rady z rozżalonymi i nieszczęśliwymi ludźmi.“

Wszystko w tym obrazku jest: i dramat znękanej „duszy chłopskiej,“ i kawał nowelisty. Niema tylko jednego — sumiennego i głębokiego zbadania położenia wychodźców polskich; brak cyfr oznaczających np. stopę zarobku emigranta-najemnika, lub określających obszar wydzielanej na osobę ziemi, jej cenę, brak wskazówek dotyczących rozmiaru śmiertelności, wyzysku itp., słowem — nie widzimy statystyka, socyologa i ekonomisty, a za to jak najwięcej lużnych spostrzeżeń turysty. Bardzo być może, iż braki te p. D. później powypełnia i wtedy nawet wyczerpujące dzieło napisze — do teki jego nie zaglądałem. Nie wiem, ile zebrał lub zbierze poważnego materyału, sądząc jednak z tego, co już dał i w jaki sposób do badania przystąpił, możnaby wysnuć następujące wnioski:

Cały melodramat wyżej przytoczony miał na celu nauczenie pozostałych w kraju — przezorności (własne słowa p. D.), przyczem sam p. D., jak wyznaje, był tylko wyrazicielem życzeń emigrantów.

Powtóre, główną przyczyną skarg wychodźców jest zawód, który ich spotyka po przybyciu do wybranej przez nich prowincyi. „Ziemia (słowa p. D.) albo jest jeszcze wcale niewymierzoną, albo wcale niezdatną na kolonie, więc ich trzymają miesiąc, dwa i dłużej, a potem posyłają gdzieindziej, gdzie się powtarza to samo.“ A więc, przynajmniej w danym wypadku, dolegliwości wywołujące żale pochodzą nie z innych źródeł, lecz przedewszystkiem z bezładu państwowego, z niezorganizowanej kolonizacyi — z przyczyn swoją drogą dość poważnych.

Po trzecie — p. D., powierzając się opiece władz brazylijskich i biorąc je za nić przewodnią w wędrówce po labiryncie emigracyjnym, źle zrobił. Jeśli rząd istotnie jest zainteresowany w zaludnieniu swoich puszcz chłopem polskim, to zwiady dziennikarza polskiego będzie widział niechętnem okiem, a nawet, jeśli on zechce zbyt głęboko rzecz badać, postawić mu może nielada przeszkody. W ten sposób — bodajbym był złym prorokiem — p. D. obłowi się tylko takim materyałem, z którego będzie mógł wykroić z kilkadziesiąt nowel i powieści.

Teraz odczytajmy kilka charakterystyczniejszych listów wychodźczych. Nie wyjaśniają one rzeczy całkowicie, ale usiłują rzucić postrach na ochotników do emigracyi, a czasem zbliżają się dość znacznie do prawdy. Oto np. niejaki Jan d'Agort, prenumerator *Kur. warszawskiego* z New-Yorku opisuje, co spotkało w Brazylii jego przyjaciela. Pomimo, iż włada kilku językami i jest fachowo uzdolniony w ciesielstwie, stolarstwie, tokarstwie, dość długo nie mógł znaleźć sobie odpowiedniego zajęcia, stracił swój fundusz i musiał jąć się ciężkiej pracy fizycznej robotnika na plantacyach kawy za niską cenę. Tenże przyjaciel opowiada straszne rzeczy o emigrantach brazylijskich. „W porcie, do którego zawijają okręty, strzeżoni są oni przez strażników z bronią w ręku, później małemi partyami wysyłani bywają do plantacyj rządowych. Nieszczęśliwi wychodzcy, nietylko, że są źle traktowani, haniebnie karmieni, lecz dostają pół tego wynagrodzenia,

jakie pobierają robotnicy krajowi. Każdy z emigrantów, przekonawszy się, iż Brazylia nie jest rajem, lecz wprost przeciwnie, piekłem, radby powrócić, lecz nikogo, kto nie zwróci kosztów przejazdu okrętem, nie puszczają, a w razie ucieczki strzelają do zbiegów, jak do zwierząt.“ W kraju, gdzie rząd i obywatele zaprawili się do okrucieństw i samowoli nieskrępowanych niczem wyzyskiwaczów w okresie niewolnictwa murzyńskiego, fakty podobne do powyższych są możliwe.

Inny znowu emigrant, niejaki Józef Czypek w liście do *Gaz. warsz.* z Santo Paulo, próbuje w swoich informacyach podać cyfry. Sam pochodzi z pod Mławy i zajmuje się losem wychodźców ze swojej okolicy. „Mławczanie i Wólczanie, powiada, wszyscy na kolonie rządowe idą, lecz ci będą mieli za swoje — dorób się na lesie, gdzie tyle narodu, a nic niemasz, co dowiozą w dwójnasób droższe. Od Nowego Roku grunt droższy, cegła tysiąc do 50 rs., i to jej niemasz. Hofman i studzieniecko-mławskie familie siedzieli tu (w San Paulo) przez trzy tygodnie, nim ich rząd do lasu odesłał, bo tam niema ani drogi, ani szopy, gdzieby familie nocowały, przez dzieci (?), mężczyźni robią, dla rządu drogi itp. 15 dni, a zaś 15 dla siebie.“

Jeszcze posępniejszy obraz maluje *Dziennik warszawski* na podstawie opowiadań niejakiego Komornickiego z Łodzi, który wrócił z Brazylii. Przerażony widokiem ciężkiej pracy u plantatorów, do której chcieli go nająć, udał się własnym kosztem, jako osadnik, do stanu St. Catharina, gdzie za małe pieniądze i na wygodnych warunkach spodziewał się nabyć znaczniejsze posiadłości ziemskie. „Po kilku dniach ciężkiej drogi przybył do tej prowincyi. Tam osoby zarządzające podziałem ziemi między emigrantów, pomieściły wszystkich przybyłych w specyalnie urządzonej, dużej szopie, a później każdej rodzinie wyznaczyły kawał gruntu wielkości 125 morgów, zarosły gęstym lasem, który winni byli wyciąć dla przygotowania ziemi do zasiewów. Za grunt ten obowiązani byli zapłacić rządowi brazylijskiemu w ciągu lat siedmiu po 125 milreisów. Żadnych narzędzi roliczych nie dano przybyszom, ani też zapewniono im żadnych ulg w podatkach i powinnościach. Rozdano tylko topory i duże noże dla obrony od dzikich zwierząt. Wychodźcy, nieposiadający własnych środków i przybywający do Brazylii kosztem tamecznego rządu, nie mają prawa wybierać sobie rodzaju pracy, lecz obowiązani są wykonywać najcięższe roboty ziemne, do których wysyłani zostają niezwłocznie po przyjeździe do Brazylii. Podejrzanych o zamiar powrotu do ojczyzny władze brazylijskie zakuwają w kajdany, wtrącają do więzienia i trzymają dopóty, dopóki nie zmuszą ich do przyjęcia poddaństwa brazylijskiego... Zdarzyło się kilka wypadków samobójstwa, spowodowanych położeniem bez wyjścia... Władze miejscowe bacznie pilnują listów, przesyłanych do Europy, odczytują wszystkie i niepodobające się im niszczą, a piszących pociągają do odpowiedzialności i prześladują.“

Niewątpliwie, że wszystkie te doniesienia z natury swojej kwalifikują się na materyał agitacyjny przeciwwychodźczy i za taki przedewszystkiem winny być uważane; noszą jednak charakter anegdotyczny i sprawę polskiego osadnictwa w Brazylii nie wiele wyświetlają.

Wogóle można powiedzieć o wychodźtwie brazylijskiem, że póki zbadaniem jego nie zajmie się jakaś komisya złożona z ludzi kompetentnych, długo ono pozostanie orzechem niezgryzionym.

Pietkiewicz.

LIBERUM VETO.

Symbol karnawału. — Ożywiliśmy się. — Kawałek tajemnicy Kocha. — Jej resztka pozostawiona w ukryciu dla zabezpieczenia monopolu. — Tuberkulina Bujwida. — Stały objaw skuteczności działania limfy antigruźliczej. — Modrzejewska. — Stary repertuar i talent po zenicie. — Cenna reszta. — Kula śnieżna. — Olbrzymi zamach i skromny rezultat. — Arystokracya i ogół. — Topienie komisyi pomnikowej. — Błazeństwo bez miejsca.

Gdyby ktoś chciał wyilustrować chwilę obecną, powinienby przedstawić tańczącą damę ze skarbonką kwestarską w jednej ręce, a szprycką Kocha—w drugiej ręce. Bale, zbieranie funduszów dobroczynnych zapomocą zabawy i szczepienie limfy przeciwgruźliczej — oto są trzy punkty, około których obraca się nasza uwaga i — w znacznej mierze — życie. Co do balów zaznaczam tylko fakt pocieszający dla narodu, którego patronką jest św. Terpsychora, że karnawał ożywił się znacznie i że pot znoju Fikalskich, który początkowo nie występował wcale, obecnie już rzęsiście rosi ich szlachetne oblicza i wawrzyny na ich czołach. Rubryki pism: *zimowy*, *kwiatowy*, u *cyklistów*, *subjektów*, *grabarzów*, *bankrutów*, *paralityków* itp. znowu bije tętnami nadzwyczajnej ochoczości. W tej więc najobszerniejszej i najważniejszej dziedzinie naszej pracy wszystko idzie doskonale.

Tylko chyba przez wzgląd na to, że po karnawale wzmagają się suchoty zarówno kieszeni, jak płuc, możemy nie dziwić się zaprzątaniu uwagi publicznej limfą antigruźliczą. Jak wiadomo czytelnikom z numeru poprzedniego, Koch odsłonił tajemnicę swego środka leczniczego, ale odsłonił ją po niemiecku, mianowicie tak, ażeby ludziom zdawało się, że coś rozumieją, a jednocześnie, nie rozumieli. „Środek, użyty w nowej metodzie leczenia gruźlicy — powiada on — jest wyciągiem glicerynowym z czystej hodowli laseczników.“ Jest w tem niby powiedziane wszystko, a w istocie bardzo mało. Koch oddał światu całe odkrycie, zachował dla siebie tylko bagatelę: sposób otrzymywania owego wyciągu glicerynowego z hodowli laseczników gruźliczych. Ale ta bagatela wystarcza mu do zabezpieczenia sobie patentu, monopolu wyrabiania limfy. Nauka pokonała w nim spekulacyę przemysłową, ale nie na tyle, ażeby całkiem zrzekł się geszeftu. Nie mogąc zakryć wszystkiego, zakrył przynajmniej sekret fabrykacyi — jak mydlarz, piwowar, farbiarz, który chce produkt swój wprowadzać na rynek bez współzawodnictwa, a jego marce zapewnić „oryginalność.“

Ponieważ zanosiło się na to, że niemiecki dobroczyńca ludzkości nie uchyli przed nią nawet rąbka zasłony swego wynalazku, więc dr. Bujwid zaczął rozwiązywać rebus naukowy i po szeregu doświadczeń otrzymał płyn bardzo podobny do limfy Kocha, który nazwał *tuberkuliną*. Jest on o połowę słabszy, ale w działaniu — jak przekonały szczepienia na zwierzętach i ludziach — daje te same objawy charakterystyczne. Ciekawi znajdą szczegółowy opis w organach lekarskich, do których niech się zwrócą. Nas tu zajmować może tylko — że tak powiem — społeczna strona leczenia suchot metodą Kocha. Ponieważ materyał dowodowy gromadzi się w coraz większej ilości, przeto znowu zachodzi nam drogę najważniejsze dla ogółu pytanie: co świat zyskał w świeżo odkrytym środku przeciwgruźliczym? Kto chce zarobić na tytuł lekkomyślnego pyszałka, niech to pytanie rozstrzygnie w ostatecznej instancyi. Nigdy bowiem chyba nauka nie widziała takiej bieganiny do „Sasa i lasa,“ takiego jarmarku, w którym każdy co innego okrzykuje, takiej sprzeczności zdań, pospiesznych i namiętnych sądów. To już nie dysputa naukowa, to sabat czarownic na Łysej górze. Ci twierdzą, że limfa Kocha leczy, tamci, że zabija; ci, że skutecznie działa w początkach suchot, tamci, że tworzy nowe ogniska gruźlicze; ci przysięgają, że widzieli przypadki uzdrowienia nią „wilka,“ tamci przysięgają, że nikt jeszcze uzdrowiony nie został; ci przyznają jej wartość dyagnostyczną, tamci ją potępiają, jako środek wysoce bałamutny. Słowem, gdyby zgromadzić tysiąc kobiet i zapytać je, ile mają lat, prędzej możnaby dowiedzieć się prawdy, niż od synów Eskulapa o „ściśle obserwowanem“ działaniu nowego leku. Jeden tylko objaw jego wpływu dostrzeżony został prawie powszechnie, mianowicie kochina wywołała gwałtowną reakcyę śród lekarzy: znacznie podniosła w nich temperaturę i wydobyła na wierzch, a przynajmniej wskazała istnienie głęboko ukrytych gruczołków zawiści. Takich sporów zajątrzonych osobistemi niechęciami, a często wymysłami, nie zauważyliśmy śród nich dotychczas. Dwa stronnictwa: kochistów i antikochistów kłócą się zawzięcie, trzecia zaś partya neutralnych gra nieraz widocznie rolę owego świadka, który się śmieje. Wyznaję, że osobista moja sympatya przechyla się raczej ku pierwszym, niż drugim, gdyż lubię i szanuję ludzi, którzy nawet z fanatyzmem poszukują prawdy przy świetle nowej idei.

Wszystkie zwaśnione żywioły pogodzi prawdopodobnie Modrzejowska, która rozpocznie wkrótce swoje występy na scenie warszawskiej. Bo jeżeli w Poznaniu zjednoczyła we wspólnym zachwycie ultramontanów z radykałami, w Krakowie — stańczyków z demokratami, czemużby jej różczka czarodziejska miała się okazać bezsilną w Warszawie, w tej Warszawie, która nawet na wyprawę krzyżową wyruszyłaby pod znakiem aktorki lub śpiewaczki, a od dyrekcyi teatralnej zażądała na przedstawienia goszczącej artystki kilkanaście tysięcy biletów. Jest to kult dziwnie bezinteresowny. Modrzejewska bowiem nie przywiozła z sobą nowego repertuaru, lecz wystąpi w kilku sztukach, w których widzieliśmy ją za najlepszych czasów aż do przesytu. *Marya Stuart*, *Dama kameliowa* itd. stare znajome, które tylko nowemi toaletami odmłodzić można. Z drugiej strony wszakże ten tłumny szturm do kasy, obok zwykłej manii podziwiania przelotnych ptaków teatralnych, świadczy zarazem, jak dalece publiczność nasza spragniona jest widoku gry wysoce artystycznej. Dzisiejsza, zwłaszcza żeńska załoga tonącego korabia Melpomeny dogadza tylko pośledniejszym gustom. Po zgasłych gwiazdach rozświetlają mrok świętojańskie robaczki, które na tle mizernego, szarego repertuaru błyszczą nikłymi punkcikami. Teatr jest nietylko przybytkiem estetycznych zadowoleń, ale także miejscem odpędzania nudów i podniecania zużytych nerwów. Więc kto chce rozerwać się lub podrażnić, ten spędza w nim wieczory, cokolwiek i kogokolwiek widzi lub słyszy. Dla ogółu wszakże przestaje on coraz bardziej być źródłem rozkoszy szlachetniejszej. Tysiące ludzi mogą bez niego żyć, nie wiąże on się z ich moralnemi potrzebami. Raz grają takie błazeństwo, drugi raz — inne, raz odgrzewają taką stęchłą pieczeń, drugi raz — inną, raz pokazują taką kombinacyę z męża, żony i kochanka, drugi raz inną — oto zwykła panorama. Można zestarzeć się i tego wszystkiego nie widzieć — bez żalu. Człowiek roztropny i w wyborze zadowoleń wybredny spędzi wieczór śród przyjaciół, zagra w szachy lub wysłucha sonaty Mozarta odegranej przez znajomą, zamiast tracić czas i pieniądze na oglądanie bzdurnych fars i komedyj. Oprócz *Makbeta* i *Maryi Stuart* Modrzejewska grać będzie w samych fabrykatach scenicznych, ale przynajmniej opromieni je blaskiem swego talentu. Kto wszakże mniema, że zobaczy ją w tym samym uroku, w jakim widział przed kilkunastu laty, ten się omyli: pomimo bowiem otrębywania jej tryumfów angielsko-ame-

rykańskich, nie ulega żadnej wątpliwości, że zenit talentu Modrzejewskiej przypadł na jej stały pobyt w Warszawie. Mogła ona od tego czasu zbogacić swą grę nowemi właściwościami i środkami, ale nie zachowała w niej bez żadnej straty tego, co daje tylko powna epoka w życiu artystki. Przekonaliśmy się już o tem w czasie jej poprzednich występów gościnnych, tem dowodniej przekonamy się teraz. Ta jednak reszta sił i czarów jest zapewne jeszcze tak wielką, że przy obecnym składzie naszego teatru nie będzie miała ani porównania, ani współzawodnictwa.

Z wielu stron otrzymujemy zapytania, co znaczą odezwy dam arystokratycznych, wzywające do tworzenia „kul śnieżnych" ze składek dla instytucyj dobroczynnych. Ponieważ owo instytucye początkowo nic o tem nie wiedziały, a samo przedsięwzięcie było zamknięte w kole „wyższego towarzystwa," więc możemy dać tylko takie objaśnienie, jakiego obecnie ujawniony fakt dostarcza: mianowicie jedna z tych dam za pośrednictwem redakcyi *Słowa* złożyła Schronieniu nauczycielek uzbierane 400 kilkadziesiąt rubli z oznajmieniem, że dalszych ofiar nie przyjmuje. Metoda kwesty (często dziś stosowana za granicą) polega na tem, że osoba *A* składa 30 kop. i dwie odezwy, oznaczane literą *B*, posyła do dwu innych osób, te zaś, złożywszy po 30 kop., posyłają po dwie odezwy oznaczone literą *C* — i tak dalej aż do *Z*. Pieniądze w markach pocztowych miały być przesyłane do podpisanej na okólniku. Otóż ktoś obliczył w *Kuryerze warszawskim*, że gdyby ta operacya udała się całkowicie, inicyatorka otrzymałaby: 67,108,863 listy, zawierające przeszło 201 milionów marek 10 kopiejkowych; sama opłata pocztowa wynosiłaby od nich [illegible] miliona rubli, suma zaś osiągnięta dla nauczycielek — 20,132,658 rs. 90 kop. Zamiast tych milionów i olbrzymiej „lawiny" wpłynęło zaledwie cztery setki rubli. Jest to chyba uderzający dowód, jak daleco „kula śnieżna" w ten sposób rzucona nie zbudziła zaufania. Mojem zdaniem arystokracya nasza, chociaż posiada w swem gronie jednostki uczciwe i dobremi chęciami ożywione, nie powinna imać się działań społecznych zakreślonych szeroko, gdyż nie ma ani sympatyi, ani uznania, ani kredytu w narodzie. Jej bezmyślność, życie próżniacze i hulaszcze, lekceważenie ogółu, odrzynanie i odgradzanie się od niego we wszelkich stosunkach — nie mogło między nią a nim zawiązać żadnych węzłów. To też gdyby jakiś znany ze swych dążeń i działań lekarz, adwokat, literat, krawiec puścił „kulę śnieżną" w celu dobroczynnym, urosłaby ona nieporównanie bardziej, niż rzucona ręką arystokratyczną.

Wielka bryła śniegu, utoczona ongi w sprawie pomnika dla Mickiewicza, topnieje tak szybko, że wkrótce zniknie bez śladu. Kto obecnie stanowi „komisyę," opiekującą się tem przedsięwzięciem w Krakowie, nie wiadomo. Jedni „krzyknąwszy nie pozwalam, uciekli na Pragę," drudzy wycofali się po cichu, inni radziby, ażeby o nich zapomniano, tak, że gdy Rieger ukończy swą pracę, przez ogłoszenia będzie musiał poszukiwać „sędziów," którzy ją odbiorą, ocenią i pieniądze wypłacą. Nie pierwsza to sprawa ginie w rojącej się wszelkiego rodzaju bakteryami atmosferze krakowskiej. Po ulotnieniu się różnych olejków komisyi, pozostały z niej, prawie bezimienny osad daje znaki życia w prasie doniesieniami o „nowych" projektach co do „wyboru miejsca" na pomnik. Ileż to lat odbywa się ów wybór miejsca? Chyba drwina za długo się ciągnie i za daleko się posuwa. A jeżeli nawet ona zasługuje na pomnik, to należałoby dla niej wybrać inne miejsce, niż zabiegi około uczczenia Mickiewicza.

Poseł Prawdy.

O PRAWDZIE.

W odpowiedzi na uwagi p. J. W. umieszczone w *Prawdzie* (nr. 2 i 3), zauważę, że autor bynajmniej nie „podkreślił" mych poglądów — jak to obiecuje — lecz pod wielu względami wprost je przekreślił—co jest daleko łatwiejsze. A więc naprzód nieprawdą jest, jakobym zaprzeczał „wolność sumienia," a między innemi „swobodę przekonań religijnych." Przyznaję i tę wolność i tę swobodę w zupełności, o ile one są kwestyą prywatną i praktykują się bez „krzywdy innych" — jak powiada mój oponent. Niestety, religia we Francyi nie jest tylko kwestyą prywatnego sumienia; przeciwnie, nosi ona w daleko większym stopniu charakter społeczno-polityczny. Księża są nie tyle „pasterzami dusz," ile agentami politycznymi. Korzystając z olbrzymich narzędzi postrachu, jakie im religia w postaci spowiedzi, rozgrzeszenia itp. praktyk wręczyła, narzucają oni krajowi gwałtem całą hordę wstecznych deputowanych, którzy powstrzymują go od postępu, a chcieliby nawet cofnąć do jednego z przeżytych ustrojów. Rozumie się, że Rzeczpospolita nie może spoglądać z założonemi rękami na to, jak wrogowie jej pod płaszczykiem „wolności sumienia" zadają jej ciosy śmiertelne.

Z drugiej strony duchowieństwo wywiera przy pomocy swych nauk pewien wpływ społeczny, zgubny dla mas, uświęcając we własnych ich oczach ciemięztwo i wyzysk, któremu podlegają. Ten klasowy charakter religii jest obecnie tajemnicą tylko dla dewotek. Znaną jest powszechnie rzeczą, iż wolteryańska i bezwyznaniowa burżuazya francuska jest w tym celu za popieraniem religii, bez której sama znakomicie może się obejść, która dla ciemnego wszakże ludu jest niezbędną. Któż bowiem nie zna wspaniałych nauk, jakie za dobrą opłatą duchowieństwo sieje? Oto jeden na chybił trafił: „Którzykolwiek słudzy są pod jarzmem, niech rozumieją pany swe godne być czci wielkiej, aby imię boże i nauka nie były bluźnione." Znoszenie w pokorze ucisku i cierpień, oddawanie „panu co pańskiego" itd. — wszystko to są nauki, których klasy pracujące nie mogą dość sowicie opłacić. To też budżet kultów rośnie, jak na drożdżach.

Rozumie się, jeżeli ktoś pod pozorem „wolności sumienia" będzie spekułował na ciemnocie nieszczęsnych biedaków i przyuczał ich do znoszenia w pokorze jarzma, to demokracya musi go demaskować bez miłosierdzia, a państwo, rozumie się, demokratyczne powinno zakazać handlu trucizną moralną, tak samo, jak zabrania sprzedaży trucizn materyalnych.

Demokracya francuska bynajmniej więc nie narusza „wolności sumienia," odpierając knowania polityczne swych wrogów, które pod pozorem tej wolności się kryją, a zarazem przeciwdziałając demoralizacyi społecznej, jaka pod opieką apostołów ciemnoty bujnie rozkwita. O ile wszakże przekonania religijne są kwestyą czysto osobistą i związane z niemi postępowanie praktykuje się „bez krzywdy innych" — zasługuje ona na wszechstronną tolerancyę. W jaki jednak sposób przeciwdziałać politycznym intrygom i społecznej reakcyi duchowieństwa wszelkich wyznań? Na pierwszym planie stoi tu rozumie się uświeccenie szkoły i oddzielenie państwa od kościoła. Są to potężne ciosy zadane tym apostołom ciemnoty i wyzysku. Myliłby się wszakże ten, ktoby sądził, iż one kwestyę rozstrzygają: państwo nie może przecie zakazać spowiedzi lub rozgrzeszenia, polityczny więc wpływ duchowieństwa pozostaje nienaruszony; z drugiej strony rozdzielenie państwa i kościoła bynajmniej nie zmienia społecznej roli tego ostatniego. „Legalne małżeństwo tych dwu instytucyj zamienia się na konkubinat" — rzekł jeden pisarz demokratyczny w zastosowaniu do Stanów Zjednoczonych. Kościół nie otrzymując pensyj państwowych, znajduje się na bezpośredniem utrzymaniu klas pracujących, które za pomocą darowizn, legatów itp. sowicie opłacają starania duchowieństwa „koło ludu," by go utrzymać w należytej „moralności." To też mieszczaństwo strzyże w Ameryce robotników i lud nie gorzej, niż w starej Europie. Zupełnie wyzwolić lud z pod tresury klasowej, w jakiej duchowieństwo go utrzymuje, można będzie tylko wówczas, gdy wychowanie dzieci stanie się w zupełności funkcyą publiczną. We Francyi fakt ten jest równoznaczny z „dyktaturą Paryża." Rozumie się państwo nie będzie gwałciło sumienia rodziców — i tym, którzy zechcą wychowywać swe dzieci prywatnie, pozostawi je w domach; ani też — sumienia dzieci, które wychowywane będą na jego koszt. Szkoła będzie czysto świecką, ale rola, jaką duchowieństwo zawsze odgrywało, będzie należycie wyświetloną. Oto w jakiem znaczeniu pisaliśmy, że dyktatura Paryża szybko oświeci chłopstwo i uwolni je z pod wpływów obecnych czarnej międzynarodówki.

Żeby zakończyć z tą kwestyą, muszę tu „podkreślić" jeszcze kilka sprzeczności, jakie wśród uwag p. J. W. znalazłem. Twierdzi on mianowicie, iż „w Vicq odbył się niewątpliwy, acz legalny gwałt, gdyż trudno zaprzeczyć rodzicom prawa wychowania dzieci w tych zasadach religijnych, które wyznają sami." Otóż państwo francuskie nigdy prawa tego rodzicom nie zaprzeczało. Przeciwnie, pozwala ono każdemu sprowadzać sobie do domu rabinów i księży, gdzie mogą w sposób prywatny uczyć dzieci. Ale przestąpić progi szkoły — wara! Zresztą wszak sam p. J. W. twierdzi, że musi ona być „*koniecznie* świecką i bezwyznaniową," gdzież zatem znalazł „gwałt"? Chłopi zaś, nie pozwalając wprowadzać do szkoły nauczycieli wiejskich, nie „bronili wolności sumienia," lecz przeciwnie wykroczyli przeciw niej.

Dopiero co p. J. W. twierdził, iż szkoła musi być „świecką i bezwyznaniową," a oto— jeszcze zdania nie dokończył — już słyszymy, że „narzucanie poszczególnym gminom szkoły świeckiej jest wstrętnym przymusem." A więc szkoła świecka jest jednocześnie „nieodzownym warunkiem" i „wstrętnym przymusem" w stosunku do „wolności sumienia." Widocznie p. J. W. chce pozostawić wybór szkoły świeckiej lub duchowej poszczególnym gminom. Kwestya ta jest ściśle związana z pytaniem o centralizacyi, które p. J. W. poruszył i któremu musimy kilka słów poświęcić.

(D. n.).

L. Winiarski.

KRONIKA

Wiadomości administracyjne. *Prawit. Wiest.* zamieścił następujące rozporządzenie ministra skarbu: Wszystkie kary ściągane z robotników na zasadzie art. 143—148 ust. obracane są na utworzenie specyalnego w każdej fabryce kapitału, który znajduje się pod kontrolą zarządu fabrycznego i może być użyty wyłącznie na potrzeby robotników. Właściciele lub administratorowie fabryk, za zgodą inspekcyi fabrycznej, mogą czerpać z tego kapitału w następujących wypadkach: a) na zapomogi dla robotników, którzy stracili możność pracowania z powodu kalectwa lub czasowej choroby; b) dla robotnic, znajdujących się w stanie poważnym w ostatnich dniach słabości; c) w razie utracenia przez robotnika dobytku i d) na pogrzeby. Kapitał do wysokości 100 rubli może pozostawać w kasie oszczędności, skąd następnie pobierać mogą potrzebne na zapomogi sumy za kwitami, poświadczonymi przez inspekcyę fabryczną. Obrót kapitału notuje się w oddzielnych księgach, kontrolowanych przez inspektora fabrycznego. W razie zamknięcia fabryki, zebrany z kar fundusz odbiera inspekcya fabryczna, w celu utworzenia ogólnego funduszu robotniczego dla każdej gubernii.

— Ministeryum skarbu kładzie nacisk na konieczność zniesienia prawa propinacyjnego, które ułatwia handel bezpatentowy okowitą.

— P. oberpolicmajster warszawski poleca komisarzom cyrkulowym i naczelnikowi wydziału śledczego wzmocnić dozór nad osobami, które nie mają określonego zajęcia i środków do utrzymania; tych zaś niestałych mieszkańców, którzy źle się sprawują, przedstawić do wysiedlenia wraz z rodzinami, do miejsc, gdzie są zapisani w księgach ludności. Stali zaś mieszkańcy Warszawy złego prowadzenia będą oddani pod nadzór policyjny.

Sprawy społeczne. Według danych departamentu przemysłu i handlu, z 21,810 osób, zarządzających fa-

brykami i zakładami przemysłowymi, tylko 1,471, czyli mniej niż 7% otrzymało wykształcenie techniczne, licząc tych, którzy ukończyli szkoły średnie i niższe techniczne *Now. Wr.*, zaznaczyć fakt powyższy dodaje, że tak mała liczba specyalnie wykształconych techników w fabrykach daje się objaśnić głównie tem, iż zakłady przemysłowe posiłkują się przeważnie cudzoziemcami, w innych zaś kierunek jest powierzony osobom bardziej praktycznie, niż teoretycznie wykształconym. Tymczasem ogromna większość młodzieży ze specyalną wiedzą rzadko kiedy znajduje miejsce odpowiednie. Zwrócono na to uwagę na zjeździe w sprawie wykształcenia technicznego. Obecnie tworzy się komisya w celu bliższego zbadania przyczyn, przeszkadzających młodym technikom znajdowanie odpowiednich posad fabrycznych.

— Na ostatniem posiedzeniu delegacyi, zajmującej się sprawą bazaru rzemieślniczego, zastanawiano się, czy można go otworzyć przy posiadanym kapitale rs. 5,000. Ostatecznie postanowiono odwlec termin otwarcia aż do chwili zebrania kapitału zakładowego w wysokości rs. 10,000.

— Z powodu, iż wielu szewców, posiadających warsztaty w Warszawie, utrzymuje swych uczniów w zaniedbaniu i nieodpowiednich warunkach hygienicznych, p. prezydent miasta ustanawia rewidentów, którzy między innemi będą czuwali nad tem, iżby terminatorzy byli w swoim czasie zapisywani do szkół niedzielno-rzemieślniczych i regularnie posyłani na lekcye.

— W Zwikawie utworzyła się nowa sekta. Na czele stoi „prorok," b. palacz z cegielni, wywodzący swe pochodzenie od Mojżesza. Członkowie sekty spodziewają się prędkiego końca świata. Policya aresztowała 17 członków za usiłowanie uwolnienia aresztanta.

— Żydzi w San Francisco zebrali 50,000 funt. st. na wsparcia dla swych współwyznawców wydalanych z Europy. Zamierzają oni nabyć w Meksyku milion morgów ziemi dla wychodźców.

— Wychodźctwo do Ameryki północnej pomiędzy żydami w gub. kijowskiej wzrasta ciągle.

— P. Kicińska, matka Wisnowskiej, cofnęła swoją akcyę cywilną, wniesioną przeciw oskarżonemu. W sprawie tej powołano 46 świadków. Zeznania na posiedzeniu sądowem składać będą z artystek pp. Czakówna i Noiretówna, z artystów: pp. Tatarkiewicz i Dyliński.

— Właściciele piekarni w Radomiu zawiesili wypiekanie chleba żytniego, domagając się podwyższenia taksy do 12 kop. na bochenku trzyfuntowym.

— W Warszawie powstanie lombard dla dorożkarzy.

— W Płocku z ofiar publicznych otworzono dom starców starozakonnych.

— W Petersburgu powstaje nowe towarzystwo dobroczynne, mające na celu wspieranie bon i piastunek, pozbawionych środków do życia z powodu starości, choroby lub innych przyczyn.

— W Petersburgu tworzy się komitet budowy nowego więzienia dla skazanych, przewożonych etapem na miejsce kary. Miasto ustąpiło bezpłatnie grunt pod budynek.

— W etacie niemieckiego ministeryum oświaty zażądano na rok 1891/2 dla popierania niemczyzny w Prusach zachodnich, W. Ks. Poznańskiem i obwodzie regencyi opolskiej pół miliona marek, głównie na budowę szkół.

— W Krakowie powstało „Towarzystwo oszczędności kobiet."

Szkoły. Przy uniwersytecie warszawskim powstanie katedra chorób dziecięcych, tudzież klinika propedeutyczna dla chirurgii przy wydziale medycznym.

— Ministeryum oświaty poruszyło sprawę nadania nauczycielom rysunków w gimnazyach klasycznych tych wszystkich praw służby, z jakich korzystają ci sami nauczyciele w szkołach realnych.

— Uchwalone na ostatniej sesyi warszawskiej Rady miejskiej dobroczynności publicznej bezpłatne leczenie studentów niezamożnych we wszystkich szpitalach, rozpoczęto z dn. 23 b. m.

Sprawy kolejowe. Warszawska fabryka wagonów otrzymała wezwanie departamentu kolei na dostawę 200 wagonów towarowych, potrzebnych do taboru kolei poleskich.

— Towarzystwo przemysłu i handlu w Petersburgu zdecydowało większością głosów, że najodpowiedniejszym typem linii syberyjskiej jest kolej wązkotorowa.

— Gałąź kolei południowo-zachodnich: Koziatyn-Humań, oficyalnie otwarto.

— Kolej Kursko-Charkowsko-Azowska przechodzi w tych dniach na własność rządu. Część od Kurska do Charkowa przyłączona będzie do kolei Charkowsko-Mikołajewskiej, oddział zaś od Charkowa do Taganrogu do linii Jekaterynińskiej.

— Taryfy za przewóz robotników, według nowych postanowień oparte są na następujących zasadach: Opłata zniżona do kop. 3/4 od wiorsty i osoby, jeżeli się zbierze przynajmniej 40 robotników, którym dawany będzie wagon 3-ej klasy, lub w braku tego — towarowy, urządzony w ten sposób, jak dla przewozu wojska. Narzędzie, o ile nie znajdą pomieszczenia w wagonie, będą przewożone wagonami towarowymi przy pociągach osobowych.

— Czasowy zarząd kolei skarbowych utworzy specyalny wydział handlowy, który ma zwracać uwagę na współzawodnictwo kolei i badać przyczyny, skutkiem których kierunek towarów ulega zmianom.

— Rząd uchwalił decentralizacyę austryackich kolei państwowych. Utworzone będą cztery zarządy centralne: we Lwowie, Wiedniu, Pradze i Gracu. Dyrektorem zarządu kolei galicyjskich będzie prof. uniw. i członek rady państwa, Leon Biliński.

— Na 15 maja r. b. rząd belgijski zwołuje do Brukselli kongres międzynarodowy, celem zaprowadzenia na wszystkich kolejach europejskich taryfy strefowej.

— Na terytoryum stacyi Praga kolei Nadwiślańskiej rozpocznie się na wiosnę budowa domu mieszkalnego dla rodzin służby.

Przemysł i handel. W pow. sławiano-serbskim odkryto bardzo bogate pokłady rudy srebrnej. Według analizy, dokonanej w uniwersytecie charkowskim, ruda zawiera 5% srebra, a więc obiecuje być jedną z najbogatszych w Europie.

— Niedawno w ministeryum spraw wewnętrznych złożono ustawę drugiego Towarzystwa handlu z Azyą środkową. Liczy ono głównie na zawiązanie stosunków handlowych z Bucharą. Kapitał przedsiębiorstwa — milion rs.

Konkursy. Towarzystwo lekarskie w Petersburgu ogłasza konkurs o nagrodę za najlepsze studyum o przebiegu gruźlicy i sprawianych przez nią zmianach w organizmie ludzkim przy zwykłym sposobie leczenia.

— Jeden z karaimów, mieszkających w Odesie, przeznaczył 500 rs. za napisanie historyi karaimów. Ułożenie programu konkursowego podjął się wschodni oddział Towarzystwa archeologicznego w Moskwie.

Wypadki. Z Charkowa donoszą, iż w kopalni węgla półkownika Rykowskiego nastąpił wybuch gazu piorunującego. Zginęło 28 robotników; 71 dzięki pomocy 4-ch lekarzy, przywołano do przytomności; 48 zmarło po wydobyciu. Ogółem poniosło śmierć 76.

Zmarli. Zygmunt Jaroszewski, w okolicach Kalwaryi; pisarz w zakresie agronomicznym. Redagował „Gospodynię miejską i wiejską."

— A. W. Kinglake w Londynie; historyk angielski.

— August Wohl, w Wiedniu; redaktor *Pester Lloyda.*

— Fryderyk Witt, w Kiel; najstarszy kompozytor.

— Książę Balvin, w Brukselli; następca tronu belgijskiego, syn hrabiego Flandryi.

Jerzy Bancroft, znakomity historyk amerykański i mąż stanu. Ur. w r. 1800. Napisał „Historyę Stanów Zjednoczonych," tudzież kilka innych poważnych prac, mających związek z historyą Ameryki.

— Andrzej Brzeziński, znakomity prawnik i adwokat, radca prawny i członek zarządu wielu instytucyj.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. W. Wszelkie zestawienie wypadków współczesnych w zwartym i przejrzystym obrazie ułatwia ogarnięcie ich, ale czy trud włożony w taką pracę odpowiada szeroko odczuwanej potrzebie? Uczony bez tablic się obejdzie, młodzież szkolna korzystać z nich nie będzie, więc pozostaje chyba garstka samouczków. Zresztą niech Pani o wartość pedagogiczną swego pomysłu zapyta specyalistów — Smoleńskiego lub Korzona.

A. Z. Z oddali, wobec niemożności wpływu ciągłego, uzdrawiać tak rozstrojoną duszę jest niepodobieństwem. Kładziemy jednak szczególny nacisk na radę, że stan tego rodzaju usunąć można tylko przez wzmocnienie sił fizycznych, z których osłabienie powstało. Same czynniki psychiczne nie pomogą.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 18 Января 1891 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.